Biblioteka
U. M. K.
Toruń
308582

Jan Kasprowicz

° MIŁOŚĆ °

MIŁOŚĆ

JAN KASPROWICZ

MIŁOŚĆ

Z ILUSTRACYAMI

E. OKUNIA i E. M. LILIENA.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
1902.

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu
308589

K. 2789/59

L' AMORE DESPERATO

Chè tanto dà nel Sol, quanto nel rezzo
Questa scherana micidiale e latra.

DANTE. „VITA NUOVA." CANZ. XI.

Jo vegno a te, come a persona pia,
Piangendo Morte...

DANTE. „VITA NUOVA." CANZ. III.

O jakaś ty piękna przyjaciółko moja,
O jakaś ty piękna!..

SALOMONA „PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI".

Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilja świéża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie,
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie...
Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdy o mnie biednej pomyślisz inaczej,
Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczy...

VIOLETTA. AKT III

.1901a
Weisburg ch Lwów

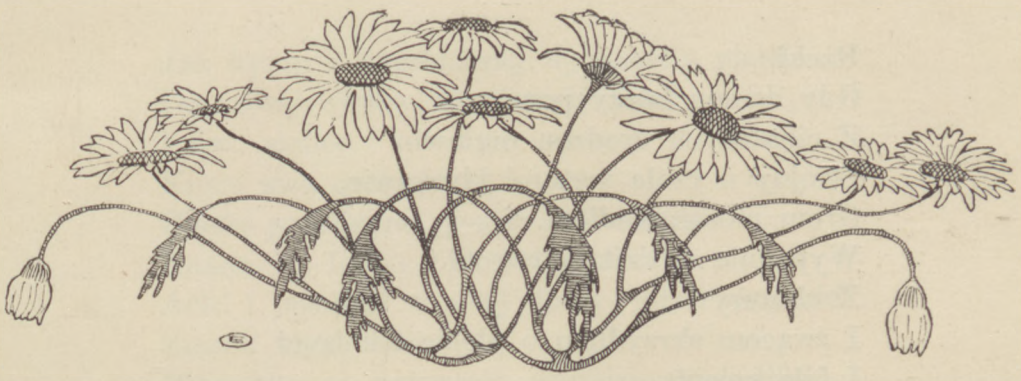

Bądź pozdrowiona!
Chociaż przelałaś do mojego łona
Ach! tyle kropel goryczy,
Że najlotniejsza nawet myśl nie zliczy,
Ile chwil ciężkich sprawiły mej duszy,
Bądź pozdrowiona!...
Dzisiaj już żadna łza ciebie nie wzruszy:
Na licu skona,
Przez twe błękitne niewidziana oczy,
Gdy ciemną strugą się stoczy
Z pod mej znużonej powieki,
Z tego źródliska,
Z którego tryska
Żalu, tęsknoty i rozpaczy strumień...

Rzeki,
Gdy demon burzy ponury,
Z ciężarnych urodzon mgławic,
Strojny u czoła wężami błyskawic,
Grom niosąc w dłoni,
Wypadnie w dzikiej pogoni
Z chmury
I rwącem skrzydłem o głębie ich trąci
I fale zmąci,
Czerpią otuchę z rozkosznych rozumień,
Że tam u szczytu,
Z wnętrza Prabytu
Promienna jasność wystrzeli
I z ich topieli,
Podobnej teraz do spienionej lawy,
Uczyni taflę przejrzystą i gładką...

I te świeżemi porośnięte trawy
Wzgórza nadbrzeżne, uwieńczone wieńcem
Srebrnych topoli;
I owe brzozy, pełne melancholji;
I owe niebo, gwiazdami, jak siatką
Złotą, zasnute;
I owa zorza, rumieńcem
Lśniąca wstydliwym, gdy z nocnego łoża
Powstaje, naga i hoża —
Dziewicza zorza,
Czysta,
Ognista,

Jak hymn z natchnionej wyrzucony piersi,
Do której wichry nie dotarły lute;
I owo słońce,
Kiedy swe gońce,
Blaski promienne, posyła na ziemię,
Każąc, by ludzie byli tutaj szczersi,
Ach! i jaśniejsi w swej duszy, gdzie drzemie
Zmrok nienawiści —
Wszystko, co nakształt czarodziejskich liści
Wiąże się w wielką girlandę stworzenia,
Będzie, przepełne rozkosznego drżenia,
W tym zdroju
Rzek rozchmurzonych kąpało
Niewinne ciało...
Tylko ma dusza nie znajdzie spokoju!
Tylko w jej toni wiecznie wichrzyć będzie
Zły duch orkanu, co zniszczył i ciebie...

Mogiła grzebie
Dzisiaj twe kształty; krawędzie
Dołu czarnego, co cię w wnętrzu mieści,
Bujnem zarosły już zielskiem,
O tym symbolu bezcześci!
Ucieleśnienie upadku!
Wyrazie grzechu,
Coś przyszedł z ciałem anielskiem
Na świat, a miałeś w oddechu
Straszną zarazę dla świata!
Ty kwiatku —

Ty, który będąc pełen barwnej pychy
I, wonne dla mnie rozwarłszy kielichy,
Strułeś na zawsze młode moje lata —
Albowiem jadem były twe haszysze:
Czemu w tę wieczną nie zapadł się ciszę,
W tę noc głęboką,
Razem z śmiertelną powłoką
I ten duch-robak, co stoczył tak wcześnie
Te twoje usta różowe,
Tak rozpalone, gdy we śnie
Anioły marzeń tuliły twą głowę
W swych ramion sploty;
Gdym ja, niebiańskiej zbywszy się tęsknoty,
Przed majestatem skażonej miłości
Klękał, całunek chłonąc za całunkiem
I upojony tym nieszczęsnym trunkiem,
Na twojej piersi zasypiał przybiałej?!...
Dlaczego duch ten pośród żywych gości —
Przy moim boku — i sprawia, że cały
Drżę i upadam i ginę
W tę prześladowań godzinę,
Kiedy on duszę mą szarpie
Jako piekielne te harpje?!...
Dlaczego, z grzechu poczęta,
Nademną jeszcze władnie twa potęga?
O bądź przeklęta!
Że jeszcze stamtąd ręka twoja sięga
Do mojej duszy, co jak kwiat jest zmięta,
O bądź przeklęta!

Przeklęte niechaj będą te urocze chwile,
Co pierwsze mnie ku twoim popchnęły ramionom,
Co duszę mą spaliły, jak skrzydła motyle,
Gdy w ogniu jarej świecy bezpowrotnie spłoną!
Przeklęte niechaj będzie to ucho, co dało
Porwać się słów twych muzyce!
To ciało,
Które do twego przylgnęło w płomiennej
Słodkich całunków rozkoszy;
To lice, które przy twojem żarem się oblało,
Niechaj na wieki! na wieki
Będzie przeklęte!
Szatan daleki
Tego wspomnienia, co dziś osłonięte
Zmrokiem boleści,
Niechaj mi spokój wypłoszy,
Kiedy łagodny i senny,
W zmierzchu godzinie,
W której wiatr cicho szeleści,
A miesiąc srebrny zjawia się na niebie,
Spłynie
Na oczy, co raz pierwszy zobaczyły ciebie!

O wieżo z kości słoniowej,
Lecz w której miejsca nie ma dla ołtarzy!
O Dawidowy
Tumie wspaniały, gdzie się ogień jarzy,
Ale nie ogień świętych całopaleń!
O gwiazdo morska, co nad głębinami,
Gdzie ludzki statek dzikie fale chłoszczą,

Lśnisz z niedostępnych oddaleń!
Odblask twój mami
Portem zbawienia, a wiedzie w sam środek
Bezdennej głębi, gdzie goszczą
Siły piekielne, co okrętu przodek
W żelazne ująwszy dłonie,
Sztorcem ściągają go w tonie,
Ażeby ginął, jak ongi, z niebiańskiej
Strącony góry, chór duchów skrzydlaty
Przepadł w czeluściach Zatraty!
O niebieska bramo,
Z pereł wzniesiona i szczerego złota,
Ale nie na to, aby przez nią cnota
Swe tryumfalne święciła pochody!
Zbrodnia rozpusty, która serce wrzody
Rozjątrzonemi toczy,
Bramą tą kroczy!
O czyste dusze kalająca plamo!
O fałszu, z kłamstwa szatańskiej
Mocy poczęty,
Bądźże przeklęty!...

Nie! nie! niech słowo to na ustach skona!
Bądź pozdrowiona!
Ty potępiona
I umęczona
Własnemi grzechy i grzechy mojemi
Na tej tu ziemi,

Bądź pozdrowiona!
Chociaż przelałaś do mojego łona
Ach! tyle kropel goryczy,
Że najlotniejsza nawet myśl nie zliczy,
Ile sprawiły mej duszy
Ciężkich katuszy,
Że jest jak rzeka zwichrzona:
Ty potępiona
I umęczona
Własnemi grzechy i grzechy mojemi
Na tej tu ziemi,
Bądź pozdrowiona!

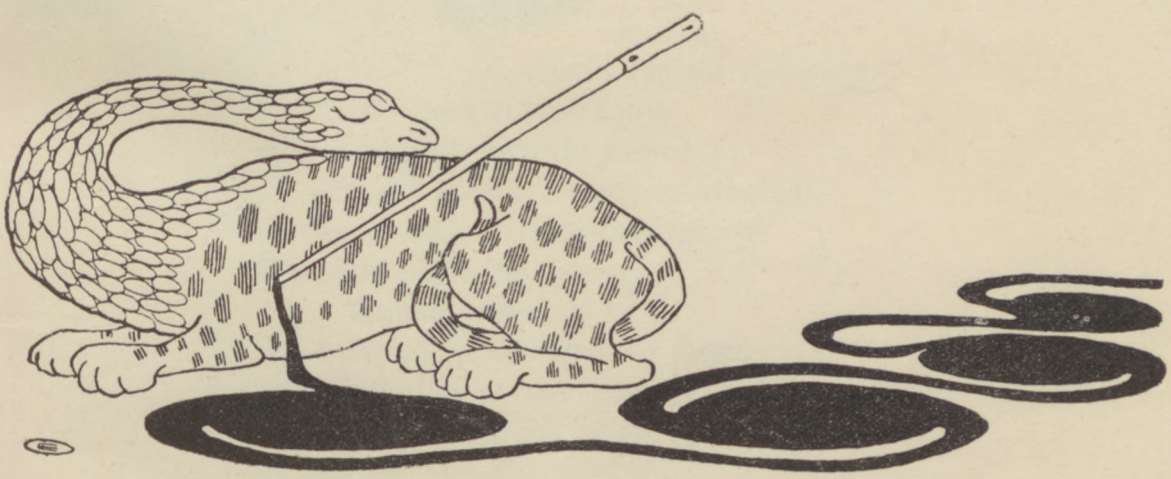

iechaj,
jak dawni czynili śpiewacy,
Ujmę boleści rozkłębione tony
W kunsztowne zwrotki kanzony;
Niech dźwięki rytmu i rymu rozdźwięki,
Śród artystycznej związywane pracy
Nakształt barwistej korony,
Kroplą zroszonej
Cichej rozwagi, przytłumią te męki,
Co pod dotknięciem niewidzialnej ręki
Wiją się w sercu, jak w gnieździe te węże;
Niechaj się zmienią w oręże
I niech odpędzą erynyj szeregi,
Które, obsiadłszy dziś brzegi

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Źródła mej duszy, patrząc w jego toń —
W jego pochmurne, sfałdowane ściegi,
Śmieją się doń
Rykiem piekielnym, bo pomiędzy wały
Wrzącemi swoje krwawe oblicza ujrzały...

Wielcy tej ziemi, gdy żal im na karku
Siądzie i żądło zapuści, jak osa,
Umieją kupić Erosa,
Albo do Bacha po zbawczą iść radę...
I w tego życia haniebnym jarmarku,
Gdzie, przeklinając niebiosa,
Ta Nędza bosa
Kroplami potu zlewa lica blade,
Lukullusową sprawiają biesiadę,
Znalazłszy towar, co duszę uraczy,
Co ją wyzwoli z rozpaczy!...
A ci ostatni na ziemi nędzarze,
Gdy krwią nabiegną im twarze
W wysiłku z bolem, zwracają swój krok
Do brudnych tawern, gdzie z pijaństwem w parze
Rozpycha tłok
Naga Rozpusta, tańcząca kankana,
Wódczanych mgłą wyziewów, miast ambry, owiana.

Komuż dziękować, że moja istota
Ani do tamtych ni tych nie należy?
Jak ongi kanzonierzy,
Mógłbym się chełpić przed zdumionym tłumem,

Że wokół siebie rzucam garście złota,
Ale dziś fałsz tak się szerzy,
Że nikt nie wierzy,
Aby się z ludzkim godziło rozumem,
Zwać to metalem, co jest tylko szumem
Dźwięcznych akordów... Wszak prawda w tem
Że ani chleba kawała, [cała,
Ni łyżki strawy pieśń dzisiaj nie warta!
A jednak taka uparta
We mnie natura, że dumna jest stąd,
Jako ma dusza to poezji karta!
Przebaczcie błąd,
Gdy z pod ogólnych karbów się wyłamię,
Szukając ulg nie w dole, lecz tam! w górnym chra-
[mie!

Z Jubalowego jestem pokolenia
I Tubalkain ma czciciela we mnie...
Minionych wieków ciemnie,
Pieśnią Mirjamy drżące i Debory;
Rytmy Homera i safijskie pienia,
Strofy, łechcące przyjemnie,
Czyliż daremnie
Miałyby przebrzmiać obok duszy chorej?
Czyż, zapatrzony w dawnych skaldów wzory,
Cały wsłuchany w bohaterskie nuty,
Co, jak miecz z stali okuty,
Umiały przelać krew dumnego wroga,
Miałbym zapomnieć — na Boga!

Jako ból własny to nie żaden ból?
Czyż wszczęta w wnętrzu miłosna pożoga
Ma być jak król,
Co moc nad światem dzierży niepodzielną?
O nie! o nie! ja siłę przełamię piekielną!

Fryzy, zdobiące szczyty partenonów,
I akantowe kolumn kapitele
Jakież sprawiają wesele
Rannemu sercu! Nagi kształt Wenery,
Nawet Laokon, choć na widok skonów
Swych dzieci z bolu się ściele,
Niby to ziele,
Zdeptane nogą, czyż rozkoszy szczerej
Nie wzbudzą w piersi, rzuconej na żery
Sępów, posytnej szukających treści
W Prometejowej boleści?...
A te mądrości pożółkniałe księgi,
Gdzie wyraz swojej potęgi,
Która jest krewną bóstwu, zamknął człek?
Te papyrusy, gdzie gad miał swe lęgi
Przez wieków wiek,
Czyż wydobyte dziś z zapomnień pleśni,
Nie wyrwią duszy z cierpień tych ponurej cieśni?

A te zagadnień bezdenne źródliska,
Ciemne jak Stygu tajemnicze fale?!
Przebrzmiały wszystkie twe żale,

Gdyś raz się w wód tych zanurzył błękicie —
Taka z nich siła zapomnienia tryska!
Idź! spiesz się! gruntuj wytrwale:
Są tam opale,
Przy których ogniu rozpoznasz niezbicie
Bytów początek i koniec; czem życie
I czem jest śmierci nieuchronna władza:
Ha! Rzeczy skryte głąb zdradza:
Może się dowiesz gdzieś na dnie tej rzeki,
Że już ten czas niedaleki,
W którym nad śmiercią weźmie człowiek moc
I że nad bóstwem zawładnie na wieki,
Jak nad dniem noc!
I czem są — mówcie — wobec tego rany
Z nieszczęsnych rąk kobiety, tej bez czci, skalanej?!

A to Przyrody obnażone piękno,
Co skier słonecznych wita nas uśmiechem
I ziół wiosennych oddechem,
Czyż nie uśmierzy boleści poziomej?
Niech przed Naturą myśli moje klękną,
Niech z bożych gońców pospiechem
Lecą za echem
Tych hymnów wielkich, co biją, jak gromy,
Albo tak huczą, jak morze o złomy
Skał pożłobionych, albo tak szeleszczą,
Jako te wiatry, gdy pieszczą
Rozmiłowane w ich poszumach sosny...
O, niech za dźwiękiem wiosny,

Wybawion z ziemskich łańcuchów, mój duch
W jeden się pean zamieni radosny!
Niech wszystek słuch
Wytęży w stronę, gdzie wabi Przyroda,
Wieczyście nieskalana i wieczyście młoda.

Rozradowany, jak ów wyzwoleniec,
Na zaobłoczone niech się wzniesie szczyty,
Gdzie każda z gwiazd swe zenity
I swój ma przestwór, dla którego miary
Nie znaleść w mózgu człowieka, a wieniec
Gwiazd z milionów uwity!
W tej ziemi skryty
Niech wniknie skarbiec i pozna jej czary!
Łon wulkanicznych tajemne pożary —
Niechaj zeń spłuczą to powszednie błoto;
Jak drogi metal niech oto
W tym świętym ogniu z żużli się oczyści...
Jako ci z legend ogniści,
Rozanieleni duchowie z swych ran
Pletli dla bóstwa, niby z krwawych liści,
Mistyczny wian,
Tak niechaj duch mój, w milionów światy
Zapatrzon, z rąk Przyrody otrzyma stygmaty...

O niechaj idzie na łąki i pola,
Niech się przypatrzy, jak się ziarno rodzi
Z nasiennych pyłków powodzi,

Które wiatr z kłosków przenosi na kłoski,
By się spełniła niewidzialna wola!
Kiedy to serce się wrzodzi,
Gdy się, jak złodziej,
Chyłkiem do wnętrza wciska Szatan troski,
Niech duch się spieszy, podziwiać ten boski
Wymiar przyrody, co dłońmi możnemi
Przeznacza atomek ziemi
Lub jedną kroplę, jako brylant lśniącą,
Na władztwo bytów tysiącom...
O niechaj sunie! ogarnie go dziw,
I nad boleścią zawładnie piekącą
I będzie żyw,
I będzie takie wydzwaniał harmonje,
Jak rzeki, co swe źródła mają w opok łonie...

Jak ta kanzona, nie wypadnie z granic,
Życia-artysty zakreślonych palcem,..
I już nie żadnym służalcem,
Lecz panem będzie tej niskiej boleści,
Która mi serce potargała na nic,
Duszę na równi z padalcem
Stawiła...

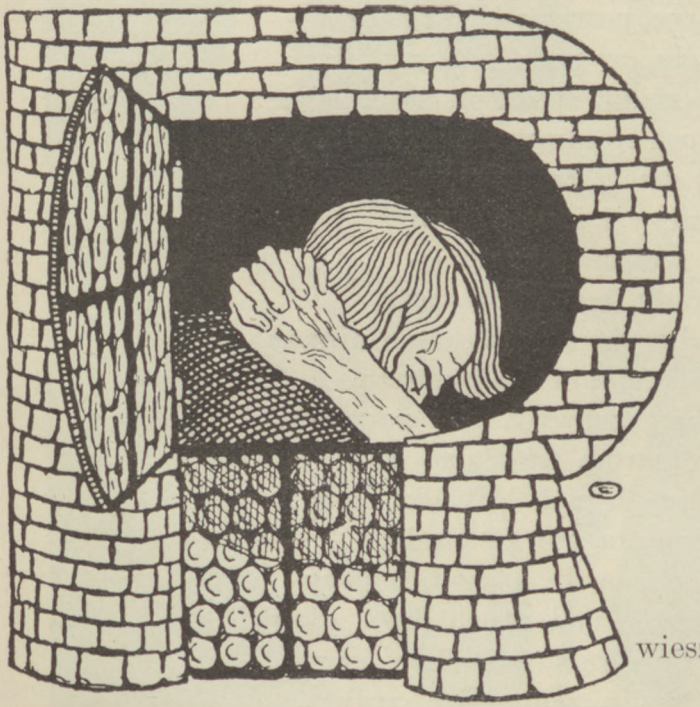

wiesz się, kanzono?
W twej treści
Nie ma więc dla mnie cudownego słowa,
Co na trąd duszy leki w sobie chowa?
A więc na zawsze mam być jako człowiek,
Któremu cieką z pod zmęczonych powiek
Łzy na żywota potarganą kartę
Za tem, co płaczu i żalu nie warte?
Chciałem być blaskiem, co skry w pomrok rzuca
I martwe byty do życia ocuca,
A oto jestem dziś cieniem nad cienie!
Ze wszystkich stworzeń najlichsze stworzenie
Więcej ma w sobie jaśniejącej mocy,
Niżeli duch mój, podobien do nocy,
W której przed chwilą szalał orkan dziki,
Co, pogasiwszy złotych gwiazd promyki,

Obłoków czarne pozostawiał szmaty,
Jako z legendy ów potwór skrzydlaty:
Zerwał się z ziemi, strzepnął się u góry
I świat zasypał ciężarnymi pióry,
A z nich tej samej zrodziły się doby
Pomór straszliwy i inne choroby,
Nawiedzając i ciało i duszę; —
Powodzie, grady, bezlitośne susze,
Czerwie, co drzewa najwybrańsze niszczą,
I te sporysze, któremi się pryszczą
Kłosy, jak raną, z owych piór powstały...
Chciałem być surmą wiosenną, co cały
Tłum podeptanych ziół do walki budzi
Przeciwko zimie, a oto się trudzi
Daremnie pierś ma, by okrzyk bojowy
Wyrzucić z siebie nad zgnębionych głowy!
Głos w niej zamiera i, jak siła mściwa,
Jeszcze pierś moją, zamierając, zrywa,
Jeszcze ją truje, ażeby z jej czary
Nigdy ożywcze nie trysły nektary...
I czem jest człowiek? Świecą, którą gaszą
Lada powiewy: nędzne ćmy, co straszą
Dzieci, do izby wleciawszy wieczorem,
Umieją blask jej swojem skrzydłem skorem
Zamienić w ciemność... Niestety! niestety!
I czem jest człowiek? jakież ma zalety?
Brzmieniem organu, co huczy tak długo,
Dopóki w niego dmiesz powietrza strugą,
A gdy się spruje przypadkiem szew miecha,
Tak się urywa i ginie bez echa...
I czem jest człowiek? kwiatem, co świeżemi

J.M.Gahen

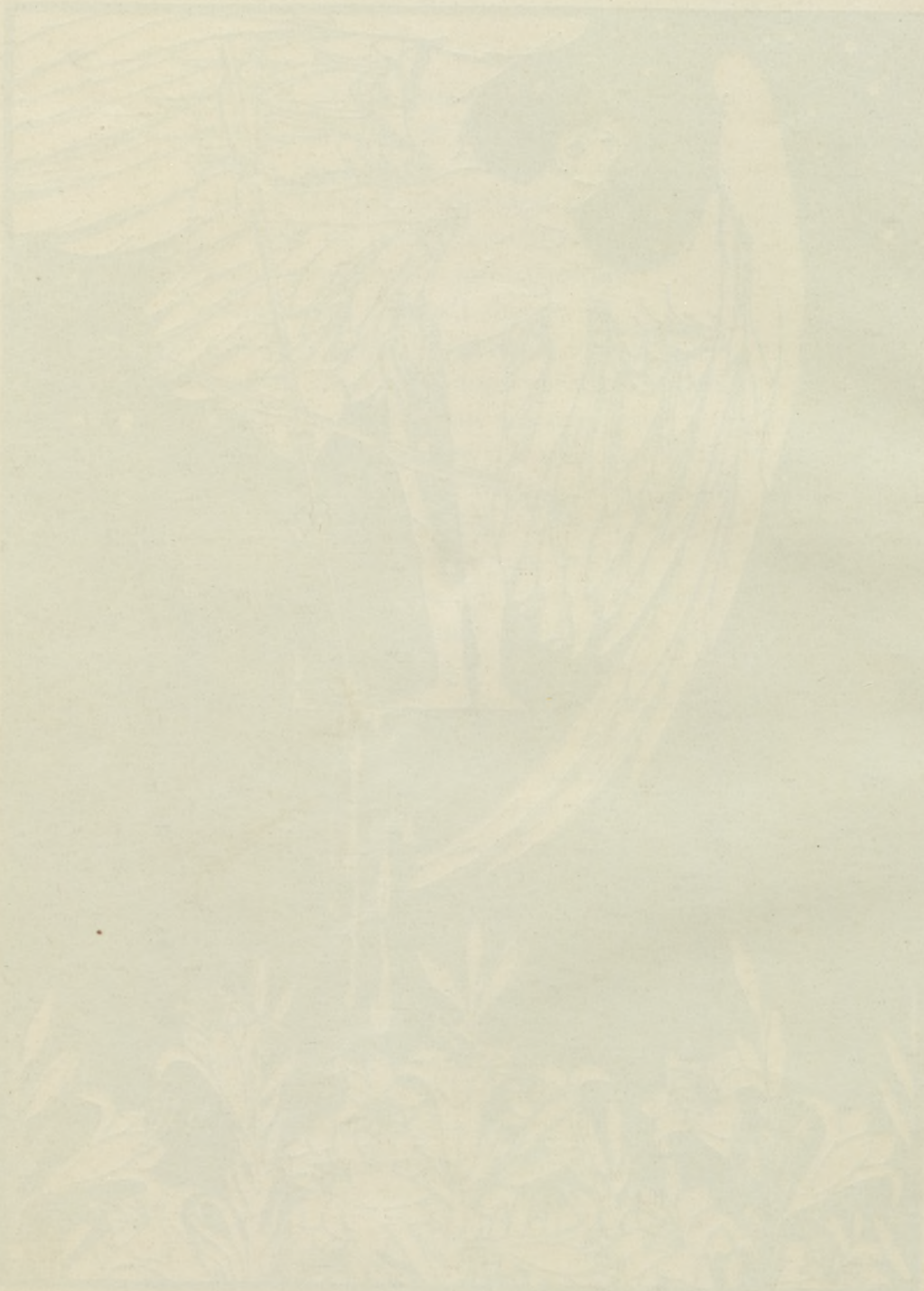

Płonieje barwy, dopóki ze ziemi
Pył się nie wzniesie i na kwiat nie spadnie...
Nie ma swej woli: siła nad nim władnie,
Która nie z jego wypłynęła łona,
Lecz z gry przypadków swawolnych zrodzona.
Tylko, że nieraz ta swawola losów
Woła o pomstę do głuchych niebiosów,
Tak jest nikczemna, ach! i tak jest krwawa
Ta z wolą człeka słabego zabawa!
Nie ma ratunku! z zaklętego koła
Żadne zaklęcie wybawić nie zdoła,
Chyba śmierć tylko, ten posłannik Boży,
Gdy swój całunek na wargi położy...

O śmierci, bolejących jestestw zbawicielko!
Schorzałej wyobraźni przytępione dłuto
Nie rzeźbi cię w porfirze, ani w ametyście,
Na wzór antycznych kamei,
Pięknej wieczyście
I uśmiechniętej promieniem nadziei,
Lecz twarz nadaje ci lutą,
Gdzie zamiast wargi różowej, zroszonej
Wonnego miodu kropelką,
Lśni zimna i cuchnąca martwość żółtej kości!
A zamiast oczu, wabiących błękitem
Źródlisk najczystszych w życiodajne strony
Wieczności,

Dwie puste jamy,
Jak dwie piekielne bramy,
Szyderstwem, nakształt gadu, w ich cieniu ukrytem,
Od ciebie odstraszają — patrzaj! duszę wszelką,
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

Ze sfer, gdzie myśli ludzkiej opadają skrzydła
Na widok zmian przedziwnych, gdy to, co dziś pada
Przeżyte do mogiły, jutro z brzaskiem zorzy,
Na mocy prawidła,
Którego rozum nie zbada,
Powstaje w nowych kształtach, młodością
[promiennych;
Ze sfer, gdzie żywot wieczny, ten pierwiastek boży,
Dany jest wszystkim bytom,
Począwszy od amfibij i ziół niskopiennych,
Od nikłych infuzoryj, co wody kropelką
Pomiędzy sobą w częściach dzielą się tysiącznych,
A ukończywszy na człeku,
Który od wieku do wieku,
Śród trudów, z jego życiem nigdy nierozłącznych,
Z swych myśli i z swych uczuć przędzie złotolitą
Tkań, przez eony ciemności szarpaną:
Ze sfer, gdzie jasne rano
Czeka po nocy zmroku
Walczącą duszą wszelką,
Spłyń ku mnie w światła potoku,
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko...

O śmierci, ty madonno, pędzlem Rafaela
Rzucona w poetycznym zachwycie na płótno,
W spokoju ócz niebiańskich kryjąca serdeczny,
Łagodny uśmiech wesela,
A w ustach, tak zamkniętych, jak pękówka róży,
Mieszcząca urok, przedwiecznej
Pełen boskości,
Którego troska ani wiek nie zburzy —
Nie! ty Wenero, którą mistrz z Werony
W figowym gaju podpatrzył i potem,
Słonecznem oblaną złotem,
Czarem okrutną,
Potomkom w nieśmiertelnym przekazał obrazie,
Że dziś w ekstazie,
Z przepełnionemi łony
Podziwem i pragnieniem, stają skamieniali:
Do wymarzonych włości
Zabierz mnie dzisiaj, gdzie się duch nie żali,
Gdzie rozkosz sączy kropla za kropelką —
O śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

W objęciach twoich ramion, toczonych z marmuru;
Na piersi, stokroć bielszej ponad alabastry,
Objąwszy biodra twoje, krąglejsze nad linie,
Któremi zataczają skrzące gwiazd szeregi
Elipsoidalne biegi
W wieczornej godzinie,
Wśród chóru
Harmonji sfer —

Z źrenicą, zapatrzoną w twoich źrenic astry,
Z ustami, chłonącemi z twoich ust kielicha
Rozkoszny żer,
Nakształt tej pszczoły,
Co z kwiatów czerpie woniejące miody —
Niechaj się cały rozpłynę w wszechbycie!...
Niechaj to życie,
Co dziś się w jednej skupiło postaci
Bolu i nędzy,
Zatraci
Dotychczasowe znamiona!
Niech się przemienię u twojego łona,
O ty przecicha
I uśmiechnięta czarodziejko boża,
W tysiączne kształty: w powietrze,
W ogień i krople błękitnawej wody:
Niech wniknę w wszystkie żywioły,
W wszystkie jestestwa, co w wszechżycia przędzy
Różnobarwnemi są nićmi: w owady,
Co się z ziemnego wychylają łoża,
By w jednej chwili zagubić swe ślady;
W poziomą trawkę, w ślepy kwiat paproci,
W jaskier, co łąki nam złoci!...
A jeśli znajdę, o śmierci, przed tobą
Łaskę, to w lilie zmień mnie, nad śnieg bledsze,
W róże, czerwieńsze od krwi!
Tylko po końcu tych smutnych dni,
Okrytych czarną żałobą,
Niechaj najmniejszą nie wniknę kropelką
W byt ludzki, o złamanych jestestw zbawicielko!...

Przeklinam świat, bo w jego przepaścistej cieni,
Gdzie patrzaj! szatan Pychy z Rozpustą się miota,
Wśród kazirodczych uścisków
Rodzą się płody, co z błysków
Słonecznych nic w swej duszy nie mają bezbożnej...
Przeklinam świat, tak trwożny,
Gdy posmutniała zbliża się doń Cnota,
A taką czelność mający w swem oku,
Takie promienie odwagi,
Gdy doń w pospiesznym kroku
Biegnie Występek nagi;
Kiedy go chwyta w swój szalony taniec
I w rozburzonej piersi skrę rozżega,
Co nie miłością jest, lecz tchem lubieżnym,
Warzącym wszystkie uczucia,
Gdy wystrzelają nad kraniec
Zepsucia,
I hamującym tę myśl, gdy wybiega
Z poziomych gnieździsk i ginie
W złotej krainie —
W niebios przestworze bezbrzeżnym...
Przeklinam go ostatnią łzą i krwi kropelką
Ostatnią, zrozpaczonych bytów zbawicielko!...

Kochałem dawniej ludzi
I żyć pragnąłem zawsze
Dla wszystkich nieszczęśliwych, którym rany,
Od Chrystusowej boleści, [krwawsze
Zadają życia oszczepy,

Gwoździe i ciernie...
Dziś się nienawiść budzi:
Jej syk mi w uszy szeleści,
Ażebym, głuchy i ślepy
Na nędzę świata,
Deptał niewiernie
Własnego brata...
O tak! ta miłość przeczysta, co chciała
Przygarnąć wszystkich do serca, dziś na nic!...
Na nic? W nienawiść zmieniła się cała,
Ach! w tę nienawiść bez granic...
O, żyć już dłużej nie mogę!
Pokaż mi swoją drogę,
Zanim szlachetność wszelką
Utracę w dziwnym tym boju!...
O ty spokoju!
Ciszy niebieska! szczęśliwości zdroju!
O śmierci, padających jestestw zbawicielko...

Pokaż mi drogę i zamknij te wargi,
Aby z nich płonne nie sączyły skargi,
Abym nie rzucał na grób ten przekleństwa,
Gdzie śpi przyczyna mojego męczeństwa,
Mego upadku i mojej niemocy...
Po co żyć jeszcze, gdy duch jest sierocy?
A zawsze będzie osamotnion w tłumie
Duchów, swych braci, kto kochać nie umie.
Gdyż tylko „miłość zamienia step świata
W ogród rozkoszny i ludny“, gdzie brata

Człek widzi w bracie i przy jego boku
Żar czuje w piersi i pogodę w oku!...
A już nieszczęście nad sercem się słania,
Co utraciło zdolność miłowania...
A kto w nienawiść zmienił ogień święty,
Będzie po trzykroć przeklęty! przeklęty!...
Ona jest winna, że mnie ręka karze,
Jakiej największi nie czuli zbrodniarze;
Że zapomniałem w tem życia pustkowiu
O serca zdrowiu i o duszy zdrowiu;
Że, utraciwszy świadomość swej woli,
Stałem się nakształt wyciągniętej roli,
Gdzie już miłości kwiat dziś nie wystrzela,
A tylko pną się jadowite ziela,
Co śród korzeni, śród łodyg i liści
Chowają soki zgubnej nienawiści...

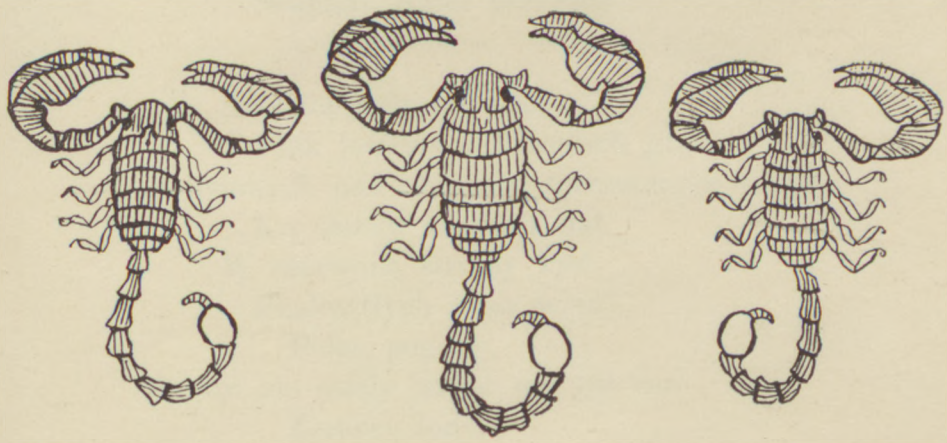

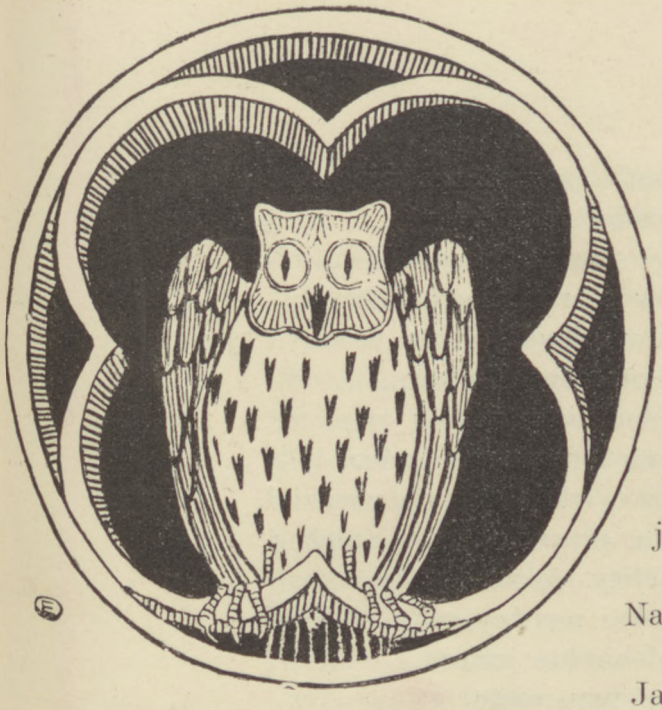

jak łagodny żar
Spływał z jesiennych nieb
Na ziemię, rodzicielkę
owoców soczystych;
Jak ten lazurów sklep,
Co się o brzeg jej wsparł,
Tysiącem blasków drżał
Przepromienistych,
A wonnych, jak żywica, którą w sosny wlał
W rosach kroplistych
Skąpany Anioł przyrody...

Szumiał jaworów liść,
Ptak jeszcze w krzewach grał,
Schylonych nad obliczem rozszeptanej wody;
Ku słońcu uśmiech słał,
W czerwoną strojny kiść,
Rozkwitłych aster wian!
Pełen pogody,
Jakby nie miały zadać mu już ran
Zimowe lody,
Wszystek świat tonął w rozkoszy...

A przecież blask ten i ta woń rzeźwiąca
Były ostatniem świadectwem żywota...
Za chwilę klombów szmaragdowa zieleń
Miała się zmienić w czerwieniastą żółtość,
Nakształt rumieńców, płonących na twarzy
Pergaminowej suchotniczych bytów...
Ale jak człowiek, dotknięty zaniku
Straszną chorobą, nie przeczuwa końca,
Tak i świat wówczas, zdało się, nie wiedział,
Że duch zniszczenia, przyodziany w śnieżną
Płachtę zimową, zbliży się za chwilę
Od stron północnych i mroźny swój oddech,
W lód ścinający niebieskie jeziora,
Srebrzyste rzeki i stawy, ujęte
W ramiona grobli, usypanych z piasku
Glinkowatego, rozleje na drzewa,
Na traw kobierce i kwiatów korony...
I jam nie wiedział, że szczęście, którego
Pierwsze promienie zajaśniały dla mnie
W oczach błękitnych, gdyśmy razem, pomnisz,
Na owej ławce usiedli, w jaworów
Ciemnej alei — ach! i jam nie przeczuł,
Że miało zgasnąć tak prędko, że miało
Bezbronną stać się ofiarą nieczystych
Sił, czyhających na wesele człeka...
Miałem ze sobą wtedy księgę świętą,
Hymn Salomona, w którym już niejeden
Dzień kąpaliśmy wyobraźnię naszą...
I wśród uroków jesiennej przyrody
Jąłem ponownie czytać ci ustępy
Psalmu miłości, którą, jak powiada
Scholastyk boży, pała Jezus Chrystus

Ku Kościołowi, swej oblubienicy...
I ty mi rzekłaś: „O słuchaj! na zawsze
Zostanę twoją i służyć ci będę,
Jako Sulamit swojemu wybrańcy.
Z duszą otwartą, jak ów kielich lilji,
Chodziłam dotąd po ziemskim ogrodzie,
Szukając rosy ożywczej, lecz nigdzie
Niepokalanej nie dostrzegłam kropli.
Stałam, by jabłoń, rozkwitła na słońcu
I plon niosąca, lecz dotąd nie było
Godziwej ręki, coby zerwać mogła
Ten zrumieniony mój owoc... O słuchaj!...
Hermon i Sanir, Amana i Liban
Czyż na swych szczytach, pachniących żywicą,
Widziały cedrę, wonniejszą odemnie?“
I wtedy głową, oplecioną zwojem
Pukli czarniawych, przechodzących w kolor
Wieczornej zorzy, kiedy słońce krwawo
Zaszło po burzy, ale stokroć miększych
Od jedwabnistych włókien, z których ongi
Królewskie w Kedar przędzono namioty,
Lekko na mojej wypoczęłaś piersi...
I oczy twoje, na wpół przysłonięte
Zróżowionemi u dołu powieki,
Jakby kto rozlał atom karmazynu
Na alabaster, zwilżony kryształem
Rosy porannej, zwróciły się wtedy
Ku moim ustom, rozwartym nad tobą
Z niesłychanego podziwu... Wymowne
Były te oczy: w ich blaskach tak cichy,
A tak zdradliwy usiadł demon śmiechu,
Tak do niezwykłej wabiący rozkoszy,

Że mimowoli przeszedł dreszcz me kości...
Czułem, że płomień, na twarz mi wystąpił
I że nie jestem panem swojej woli...
Chciałem się zerwać, młody i w Platona
Boskiej mądrości zakochan, wielbiący
Rdzeń seraficznych zachwytów świętego
Mistrza z Assyżu... W tem dłoń twą uczułem:
Zdawało mi się, że na mojej ręce
Wypiecze stygmat, który bardziej pali
Od czerwonego żelaza... I w uszy
Wślizgnął się szept twój, jak żmija Edenu,
Co, odsłoniwszy nagość praczłowieka,
Śmierci Ablowej stała się przyczyną,
Duszy niewinnej, w dziecięcej pokorze
Szczytne ofiary składającej bóstwu —
I że morderca Kain, syn Adama,
Stał się tułaczem na ziemi, biegunem,
Który, na czole mając bratobójcy
Niestarte piętno, nie znalazł spokoju...
„Stój! stój!“ szepnęłaś... „Taka filozofia
I takie władną prawidła w wszechświecie,
Że ponad wszystko jest miłość, nie we mgle
Sfer zaobłocznych zrodzona, lecz tutaj,
W naszych uściskach i w naszych całunkach...
Stój! stój! jeleniu, sunący z wzniesioną
Głową po górach Beteru, twa łania
Dzisiaj przy tobie!... Z tych kwiatów ostatnich,
Z mchów, co skrywają korzenie jaworów,
Uścielmy gniazdo, zanim czas przeminie,
Zanim ta młodość, która gra nam we krwi
Pieśń nad pieśniami, zamilknie na zawsze...“
I usłuchałem... I wtedy raz pierwszy

Z duszy, w mistyczny zakowanej pancerz,
Hymn mi wytrysnął bluźnierczy, że niema
Potężniejszego bóstwa ponad ciało...
O niewinności! ty liljo śród cierni!
Różo sarońska! zerwałem cię wówczas
Ręką, drgającą od żaru, którego
Żadne poezyi nie określi słowo...
O serce, zmazą ludzkich żądz nietknięte!
Ty jasny zdroju, błyszczący w Hezbonie
Tuż podle bram Batrabinu! zmąciłem
Wówczas na zawsze tem zbrodniczem tchnieniem
Głąb twą lustrzaną, że stała się ciemną,
Jak noc sodomska... A jednak — szpikanard,
Szafran i kasya, galban i snop myrry —
Wszystkie kadzidła, jakie tylko rosną
W raju, nad brzegiem świętych rzek: Eufratu
I Chydekelu, nad strumieniem Fuson
I nad Gihonu czystemi wodami,
Niczem są, niczem przy woni, co z ciała
Twego płynęła, gdym twe piersi krągłe
Tulił do warg mych na łożu, zasłanem
Purpurą wielkiej miłości... Hewilę,
Ziemię, gdzie złota rodzi się obfitość,
Gdzie jest onychyn, kamień drogocenny,
Stokroć ognistszy ponad ogień słońca,
Kiedy w południe zaśmieje się usty
Iskier pełnemi — wszystkie kosztowności,
Gdybym był władzcą Tyru i Sydonu,
Oddałbym, patrzaj! za jedną sekundę
Owej rozkoszy, która wnętrza mego
Gmach, zbudowany z prawd i pojęć, szczęście
Dających tłumom, zmieniła od podstaw...

Ach! niezapomnę przenigdy tej chwili,
Kiedy, zbudziwszy się ze snu, co ujął
Piękne twe kształty, z białego marmuru
Canowy dłutem rzeźbione subtelnem,
I odchylone zobaczywszy piersi,
Z okiem, wstydliwie odwróconem ku mnie,
Chciałaś ich czary przysłonić... Twą rękę
Schwyciłem wtedy i rzekłem: „Nie skrywaj
Wdzięku, co odtąd jest dla mnie busolą,
Pokazującą, jak i dokąd dążyć...
Nie ma już dla mnie tajemnic: Wieczystym
Połączyliśmy się już dzisiaj ślubem:
Chociaż jarzące nie płonęły świece
W ciemnym kościele, przystrojonym w kwiaty,
Chociaż nam organ nie brzmiał: Przybądź, Duchu!
I łaskę swoją zlej na dwie istoty,
Które chcą razem iść na bój życiowy,
Chociaż nam kapłan od Pańskich ołtarzy
Z wnętrza wzajemnych nie wyciskał przysiąg,
Choć tłum ciekawych nie wytrzeszczał oczu
Na suknię białą, z koronek uszytą,
Myśmy wieczystym związani już ślubem!...
I twoja dusza jest już moją duszą,
I twoje serce jest już mojem sercem,
I twoje ciało jest już mojem ciałem —
Nie ma już dla mnie tajemnic, o niema!“
I założyłem twą rękę na szyję,
I, w pół cię z miękkiej podniósłszy murawy,
Włos rozpleciony, spływający ciemną,
Jako ten wieczór, co się zbliżył, falą,
Obsypywałem tysiącem całunków...
I odtąd mężem byliśmy i żoną...

Lecz wnet nasz związek dziwne wziął znamiona:
Przestał spokojem być i używaniem
Wśród idyllicznych poszumów ogrodu,
Przy szmerze wody i blasku księżyca,
A stał się walką, albowiem, przemienion
W duszy i sercu, rozwinąłem sztandar,
Na którym krwawy widniał napis: ciało!
I z fanatyzmem Lazarettich jąłem
Obalać dawny porządek, stawiając
Na miejscu świątnic o gotyckich oknach,
Wzniesionych z uczuć, strzelających w niebo,
Przybytek szczęścia, w którego podwoje
Wkraczały zmysły, nagie i z rumieńcem
Na świeżych licach... I rzekłem do ludzi:
„Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,
Rzućcie od siebie, a natomiast silną
Antejów stopę postawcie na ziemi..."
Ale potęgi dawnych bożyszcz, w sercu
Mojem zamkniętych, nie umiałem stłumić;
Z pod popieliska spalonej katedry
Jęły podnosić swe głowy, złorzecząc
Nowym idolom... I wszczął się bój straszny,
W którym me siły słabły coraz bardziej...
Próżno u ciebie szukałem pomocy;
Wilgnym całunkiem zamykałaś usta,
Kiedy, spieczone od wewnętrznej walki,
Jaką dwie siły prowadziły we mnie,
Szeptały: pomóż! niech ten bój się skończy!
Na łzy — wyznaję, żem płakał jak dziecko
Niedoświadczone, wątłe, nie mające
Hartu męskiego, albowiem w uściskach
Twojej miłości, zdradliwa Dalilo!

Znikały zwolna wszystkie jego ślady —
Na łzy, na prośby ty zawsze jedyną
Miałaś odpowiedź; „Takie we wszechświecie
Władną prawidła, że to, co urosło
Z ciała, dla ciała wojować powinno!
Patrz, aby ludzie, żyjący na ziemi,
Coraz to większy zdobywali skarbiec
Ziemskiego szczęścia..." I znowu wznosiłem
Głowę i znowu walczyłem w twe imię...
Lecz nieprzyjazne twym hasłom demony,
Mające we mnie dawne swe gnieździska,
Z coraz to większą rozpierały mocą
Głąb mojej duszy... Nie mogąc już dłużej
Znieźć gigantycznej rozterki, złamany
I zrozpaczony, rzuciłem ci w oczy
Wyrzut, na który dziś jeszcze truchleję...
Nic nie odrzekłaś, raz tylko przy dźwiękach
Fortepianu usłyszałem słowa
Z ust twych płynące, które mi na zawsze
Zostały w uszach, słowa Violetty:
„Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Niedługo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilja świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie..."
Kłamiesz!" krzyknąłem, wpadłszy do pokoju,
„Pełna obłudy jesteś, tak jak jadu
Pełen jest blekot, który, patrzaj! rośnie
Pod twojem oknem... Zniszczyłem na wieki
Duszę człowieka, co dziś gardzi tobą.
I dziś ponownie chcesz go w swoje sidła

Uwikłać sztuką nędznych sentymentów..."
I znowu byłaś milczącą, jak przedtem...
Podniosłaś tylko głowę, a z źrenicy
Gniew ci wytrysnął, by wnet w żal się zmienić,
Jak mi się zdało, udany... Odszedłem
I unikałem odtąd twoich spojrzeń...
Stałaś się zimną.. Zamknięta w pokoju,
Gdy towarzysza utraciłaś we mnie,
W dźwięki muzyki przelewałaś boleść,
Pośród akordów, wśród dziwnie starganych
Smutnych melodyj powracając zawsze
Do tej przezemnie pohańbionej pieśni:
„Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...
Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilja świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie
Mniej nad skruszonem sercem zlitowanie..."
A gdy ostatni rozdźwięk w dali zginął,
Po kilku jękach, wyciśniętych strunom,
Do jęku wichru podobnych, gdy w słotnej
Rozpocznie porze dąć wśród wierzb odartych,
Zabrzmiała znowu przejmująca strofa:
„Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,
Gdy o mnie, biednej, pomyślisz inaczej,
Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczy..."
I czas ten nadszedł... Spoczęłaś w mogile,
Którą dziś chwasty okrywają dzikie...
Znalazłaś spokój, a mnie, jak Kaina,
Ściga przekleństwo słowami twej pieśni:
„Szczęścia i bolu wnet mijają chwile...

Nie długo spocznę na wieki w mogile,
Nikt na mym grobie nie postawi krzyża,
Nie wzrośnie nad nim żadna lilja świeża,
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!
Miej nad skruszonem sercem zlitowanie...“
Gdzie nogą stąpnę, tam twój duch jest przy mnie,
I oczy swoje, w których gniewu blaski
W cichą się boleść mieniają, zatapia
Jako sztylety w me serce, a w duszy
Wciąż owe jęki sączy mi jękliwe,
Niezapomniane słowa Violetty,
„Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie
Strumień łez gorżkich z oczu ci popłynie,
Gdzie o mnie, biednej, pomyślisz inaczej,
Wtedy nieeh Bóg cię chroni od rozpaczy...“
I czas ten nadszedł! o nadszedł! o nadszedł!
I lata trwa już ma rozpacz i końca
Cierpień nie widzę, widzę tylko ducha
Twego przy sobie, jak mi serce pali
Skrą swego wzroku, jak mi w uszy sączy
Przerażające słowa Violetty!
„Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie,
Strumień łez gorżkich z oczu ci popłynie,
Gdy o mnie, biednej . . . . . .“

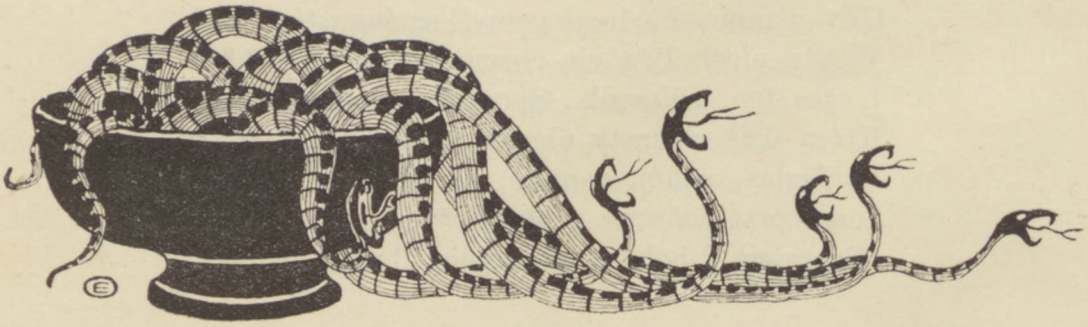

MIŁOŚĆ — GRZECH

I.

. . . . . Tak! tak! próżne żale
Próżne, powiadam... Kochałem: mój Boże,
Nie ma stworzenia tu na tym kawale
Twojego świata wielkiego, a może
I tam u góry, gdzie rój planet złoty,
Jak kule z ognia, płonie w tym przestworze,
Nie ma zapewne żyjącej istoty,
By w sobie nie uczuła miłosnej tęsknoty.

II.

Nic więc dziwnego, że przyszła godzina,
W której się miłość zbudziła i we mnie.
Ha! może to wam dziwnem być zaczyna
Że ja kochałem całkiem nadaremnie?
Żlem się wyraził: że przez moją miłość
Dusza się w straszną pogrążyła ciemnię,
Żem z wielką myślą utracił zażyłość,
Żem padł, jak owe jabłko, pożarte przez zgniłość.

III.

Raczcie to tylko rozważyć w swej głowie,
A i stąd drogą wnet wyjdziecie krótką;
Wszak to wam dzisiaj każdy z ludzi powie,
Że czar pożądań nie równa się skutkom;
I to wam powie, w jak wielkim są błędzie
Ci, co mniemają, że miłość w bielutką
Stroi nas suknię, jak pierze łabędzie,
I stawia nas w aniołów uskrzydlonych rzędzie.

IV.

Nie! jej początek nie rodzi się w niebie,
Lecz ma swe gniazdo tu, w tem grzesznem [ciele;
Cóż więc dziwnego, jeśli człeka grzebie
W przepaściach zbrodni?!... Naiwni minstrele,
Płaksy-rzezańce i mdlejące grona
Bezkrwistych dziewic w liliowe ziele
Wieńczą jej skronie dokoła, a ona
Od żarów wskroś występnych, choć skrytych, [czerwona.

V.

Patrzcie! tak, patrzcie! co ze mnie zrobiła!
Cień tylko został z dawnego człowieka!
Jej demoniczna, bezlitośna siła,
Niby orkanem rozburzona rzeka,
Zerwała brzegi mej skalanej duszy;
Wina, odemnie tak przedtem daleka,
Dziś, jak zwierz dziki w niedostępnej głuszy,
We wnętrzu mojem ryczy, zrywa się i puszy...

VI.

Tak, precz odemnie myśl odbiegła wielka!
Co? śmiech wam z piersi wychodzi na usta?
Nie zawsze celem była mi butelka
I w gronie trutniów pijanych ta pusta
I poszarpana gawęda... Jam dawniej
Sądził, że dusza, jak biblijna chusta*),
Na sobie wielką ową myśl ujawni,
Że stanę się jak ongi bohaterzy sławni...

VII.

Wiecie, co chciałem? Ni mniej ani więcej,
Jak tylko zmienić te świata porządki!
Mózg mi się palił od ognia goręcej,
Ażeby wszystko zdruzgotać na szczątki,
Gruz dawnych świątyń porzucić pod nogi
I dawnych wierzeń pochować w nim wątki;
Z uroku dawne poobdzierać bogi
I stanąć na ich grzbiecie, jak mąż złotorogi.

VIII.

I jako mąż ten, Mojżesz, ów wybraniec,
Inne ludowi chciałem dać ustawy,
Zakończyć grzeszny wokół cielców taniec,
Przekleństwa piorun rzuciwszy nań krwawy;
Zdrój chciałem żywy wydostać z opoki,
Mannę sprowadzić, ziemię zmienić w spławy
Mleka i w miodu soczyste potoki —
O tak! tak krąg tej myśli mojej był szeroki.

*) Chusta św. Weroniki.

IX.

Od czegom pragnął — tak mnie się pytacie —
Rozpocząć wielkie odrodzenie bytu,
By zajaśniała ziemia w majestacie
Szczęścia dla wszystkich? by nie było zgrzytu
W symfonii życia?... Od jądra wszechrzeczy —
Tak! od miłości! od tego zachwytu
Wieszczów natchnionych! od tej słodkiej cieczy,
Co — mówią — niby cudem ludzkie rany leczy...

X.

Pragnąłem zedrzeć tę maskę obłudy,
W którą ascetów schorzałe pojęcia,
Lub moralistów kuglarskie prysiudy
Twarz niebiańskiego skrywają dziecięcia.
Tak! do widomej pragnąłem zasady,
Czystej, jak przedmiot, godny wniebowzięcia,
Podnieść pierwiastek bez śmiertelnej wady,
Pierwiastek, co wytwarza jestestw miryady.

XI.

Koń się nie skazi, ani pies, ni trzoda
Wieprzów, spełniając wszechpotężne prawo,
Jakie swym tworom naznacza Przyroda,
Aby utrzymać byt świata; z obawą,
By się nie zbrukać, tylko człowiek dłonie
Wznosi po owoc, który dolę krwawą
Zgotował jego praszczurom... W koronie
I źródle wszego życia żar nieczysty płonie...

XII.

Tak nauczają!... Tak jest! mówię szczerze...
A przecież ongi wierzyłem inaczej!
Gdym wzrok w Milońskiej zatapiał Wenerze,
Kiedy się dusza jej nagością raczy,
Myśl wtedy wielka zawitała w głowie,
Żar niecąc w sercu. I chciałem ślimaczy
Żywot przemienić w twardy bój i w mrowie
Tych ludzi hasło-m rzucił: Bądźcie jak bogowie.

XIII.

Tak! jak bogowie, nadzy w swojem czuciu
I w swem myśleniu... I gdy orle skrzydła
Rwały mnie w górę, wszelkiemu zepsuciu
Jąłem urągać... I w swoje prawidła
Świat ten ująłem — cały świat dokoła...
A co mnie w zdradne uwikłało sidła,
Żem dziś strącony? Miłość!... Że u czoła
Mam piętno strasznej hańby, winna miłość zgoła!...

XIV.

I tak upadłem... Widzicie, jak nisko!
Myśl wielka zmarła, a tylko co nocy
Wraca jej upiór na moje łożysko
I gniewem strzela, jak kulami z procy;
Na pierś się rzuca, palce, jak postronki,
Naokół szyi, z niesłychanej mocy
Dusząc, okręca; ubezwładnia członki,
Że są jak z drzew odcięte, suche, martwe płonki...

XV.

Bo trzeba wiedzieć, że myśl to nie tylko
Jakaś abstrakcya, jakieś coś, bez ciała,
Albo że kończy na zawsze z tą chwilką,
Gdy jej w człowieku zbrodnia cios zadała.
Nie! ona żyje, jak homunkuł jaki
Tu, w całem wnętrzu; tym rumieńcem pała,
Tem okiem świeci, kreśli szczytne znaki
Tą ręką, temi stopy wielkie mierzy szlaki.

XVI.

A kiedy człowiek zmieni w grób się dla niej,
Wówczas jej upiór, błądząc za kresami
Swych form dawniejszych, powraca z otchłani
Nieokreślonych światów, aby z nami
Czynić rachunek — mścicielem powraca,
Sumienie człeka krwią wyrzutów plami
I tak męczarnią morderstwo odpłaca
I tłum nieszczęsnych jednym nieszczęsnym
[wzbogaca.

XVII.

Co noc go widzę — zaledwie przymrużę
Zmęczone oczy... Łachman ma podarty
Na zgiętych plecach; w twarzy jamy duże,
Jak bramy piekieł, poprzez które czarty
Prowadzą duszę na wieczyste męki.
W jamach tych ogień, we dwa kłęby zwarty,
Wnet się w tysiączne rozpryskuje pęki
I rośnie w miarę tego, jak rosną me jęki...

XVIII.

Naprzód, do łóżka zbliżywszy się cicho,
Prawie na palcach, śmiechem mnie przywita,
Niemym, dwuznacznym, jak uliczne licho;
Tak mnie połechce, jak grzeszna kobieta;
Jak nałożnica po twarzy popieści,
Potem, ach! potem zębami zazgrzyta,
Niby grzechotnik, kośćmi zaszeleści
I dusi, że snać skórę zostawi bez treści.

XIX.

I urągania, niby garście żwiru,
Sypie mi w oczy i wyszydza moją
Nicość dzisiejszą i grozi, że miru
Już tu nie znajdę; że mi się podwoją
Ta moja hańba i ten ból — widzicie —
Którego żadną nie odtrącę zbroją,
Jeżeli będę wlókł dalej to życie,
Jeżeli sam nie skończę, jawnie albo skrycie.

XX.

Tak, tak — powiadam, ten upiór mi każe,
Bym w waszych oczach skręcił tę chuścinę,
Zrobił pętlicę i zmyliwszy straże
Wiernych przyjaciół, w samotną godzinę
Ot! tak do studni — albo tam! w izdebce,
Na tem okienku!... Że odrazu zginę,
Niby jak mucha, lub dziecię w kolebce,
Lub szczenię — tak to widmo do wnętrza mi
[szepce...

XXI.

Z tych butów szydzi i z tego surduta —
Że jest wytarty? że na łokciach dziury
Niemal świecą?... Nie! nie! inna nuta
Tych naigrawań, co mi brzmią, jak chóry
Wrogich demonów... Owóż tem mi w oczy
Miecie ten upiór, jak burza ponury,
Że tak być miało, iż mój grzbiet otoczy
Płaszcz — mówię — apostolski... O! tak, płaszcz
[proroczy...

XXII.

I że mnie ścigać będą miliony
Tych, których zbawić mogłem swoją wolą;
I że mnie przeklnie zamiar niespełniony;
Że moją duszę, jak węże, okolą
Wszystkie te zbrodnie, które przyszłość spłodzi,
Ten grunt, podatny występkom i bolom
Przez to, żem, tonąc w miłosnej powodzi,
Nie zasiał na mim ziarn, z których szczęście
[wschodzi

XXIII.

Bo ja wam mówię — słuchajcie! że człowiek
Jeden jedyny — tak się często dzieje —
Może od razu, niby drgnięciem powiek,
Swą wielką myślą przemienić koleje
Całego świata... We mnie myśl ta była
I już, już miałem otworzyć wierzeje
Nowego gmachu, gdy w tem zła mnie siła,
Jak piórko, od tych bramic jasnych odtrąciła.

XXIV.

Jak się to stało?... O nielitościwi!
Ostatnie byście wnętrzności wydarli...
Macie je, macie!... Człowiek tak się żywi
Ścierwem swych braci, jako zwierz... Zaparli
Pyszni się ludzie z wilkiem pokrewieństwa,
A są od niego krwawsi... Trutnie! karli!
Od najmniejszego najmniejsi maleństwa!
Człek wielki da wam dzieje swojego męczeństwa...

XXV.

Kiedym ją poznał, miała lat — ja nie wiem —
Może szesnaście, lub też osiemnaście —
Wiek, w którym dziewka staje się zarzewiem...
Przy innych była jak róża przy chwaście,
Albo piwonia śród traw gorejąca...
Cała — płomienne czyniła napaście
Na zmysły człeka, niecąc w nich bez końca
Rozkoszny żar, jak ogień lipcowego słońca...

XXVI.

Bywałem często w ich domu; jej matka
Nieraz mnie nawet zwała swoim synem,
Jakkolwiek wielka z niej „arystokratka“,
A tacy ludzie gardzą prostym gminem...
Prawda, co do niej, to mawiała zawsze,
Że darzy wstrętu uczuciem jedynem
Chłopstwo, od gadu ziemnego plugawsze,
Dla innych juścić było jej oko łaskawsze...

XXVII.

A więc i dla mnie, bo — mówiąc *ab ovo* —
Nie urodziłem się pod żadnym płotem,
W żadnych pokrzywach, pod bylicą płową,
Pośród łopianu... O nie! mnie łomotem
Jędrnych konarów nie głuszył wiatr dziki
Pierwszego płaczu, ani jarem złotem
Nie popieściły słoneczne promyki,
Ni muszki mi brzęczały, ni polne koniki...

XXVIII.

Tak sielankowy nie był mój początek...
Pałac, prawdziwy pałac w wielkiem mieście,
O białych murach i pełen dziesiątek
Świetlanych okien, przytułku niewieście,
Niby mej matce, udzielił... Co chcecie!
Zawsze jest lepiej, niźli w drzew szeleście
I marnych trawek, wydać na świat dziecię
W szpitalnym, pośród pańskich wygód, gabinecie.

XXIX.

I byli wszyscy świadkami momentu,
W którym się na świat nowy prorok zjawił;
Siwy profesor, zziajany do szczętu,
„Fakt demonstrował“, szczęście błogosławił,
Że wszystko poszło niesłychanie gładko;
Rój młodych uczniów wzrok i uszy pławił,
Schylon badawczo nad proroka matką
I wsłuchan w słowa mistrza, „ciekawe, jak
[rzadko“.

XXX.

Tylko mój ojciec nie przybył — dlaczego?
Wiecie, mój ojciec wielkim był artystą —
Tragikiem pono... Niech go bogi strzegą!
Jam go nie widział przenigdy... Ognistą
Musiał mieć duszę, kiedy tak zapłonął
Ku mojej matce, co — prała chórzystom
Lichą bieliznę... Wiatr po nim powionął,
Bez śladu znikł, dziś pewnie ducha już wyzionął.

XXXI.

Lecz mniejsza o to! Świat pójdzie swą drogą,
Tak samo pójdzie me opowiadanie:
Arystokratka nie kopnęła nogą
Dziecka miłości, któremu posłanie
W niewłasnej izbie zgotowały losy...
Trudno — mawiała — rzucać pomstę na nie:
Z nieba spadają jak niebieskie rosy,
Lub grady, które z żniwa dają czcze pokłosy.

XXXII.

Zresztą, trza wiedzieć, że ich państwo całe
Było jak kożuch bez wełny, jak futro,
Zżarte przez mole, do szczętu zleniałe,
Ja zaś przed sobą wielkie miałem jutro
I byłem dla nich tą cudowną gąbką,
Którą swym licznym wrogom wargi utrą,
Co, dzikim żbikom równi, nie gołąbkom,
Rzucają ich niedolę na pastwę swym ząbkom...

XXXIII.

To jest w ten sposób myślała nie ona,
Moja wybrana, lecz jej rodzicielka...,
Ma Beatrycze, ku mnie rozpalona,
Była tak czysta, jak ranna kropelka,
Kiedy na goździk rumiany upadnie;
Jasna jej miłość i jak morze wielka,
W sobie tych głębin nie skrywała zdradnie,
Gdzie potwór samolubstwa niepodzielnie władnie.

XXXIV.

Nie!... w moje sieci wikłał ją ten boży
Duch, co przenikał wówczas moje serce
Owo proroctwo o złocistej zorzy,
Mającej spłynąć na ziemi kobierce,
Bujnie rozkwitłej pod mej myśli wiewem;
Skra moich oczu znajdowała w skierce
Jej ócz swą siostrę... Byłem dla niej drzewem
Z legendy, gdzie liść każdy drży czarownym
śpiewem.

XXXV.

Drżała naprzemian, naprzemian rumieńce
Twarz jej zlewały, gdym jej myśl roztoczył,
Jako się ludzie przemienili w jeńce
Niskiej obłudy, odkąd krok ich zboczył
Z dróg, które bytom nakreśla Przyroda;
I że się przez to kres szczęścia odroczył,
Że szczęście ludziom rękę wówczas poda,
Gdy staną się w swych czynach przejrzyści jak
[woda.

XXXVI.

Że to nastąpi, gdy ród ludzki wszystek,
Idąc za głosem Natury, precz rzuci
Ze siebie sztucznie przykrojony listek.
Bo nie to w człeku chęć nieczystą cuci,
Co jest otwarte, ale to, co gaza
Zdradna osłania, płodzi rój złych chuci;
Że grzech stąd płynie i wszelaka zmaza,
Szerząca się po świecie, jak trądu Zaraza.

XXXVII.

Że taką gazą jest mądrość człowieka,
Gdy nagą miłość stawia między zbrodnie
I kształt ludzkiego uczucia obleka
W płat, z którym może aniołom wygodnie,
Lecz nie nam, ze krwi i kości stworzeniom;
Że trzeba inne zaświecić pochodnie —
Niech przy ich blasku ludzie się nie lenią,
Poznawać, że są ludźmi, miłość z prawdą żenią...

XXXVIII.

Onego czasu heleńscy mędrcowie
Tę prawdę duchem pochwycili szczytnym:
Z wód nieskalanych, rumiana, jak zdrowie,
Z wzrokiem, jak niebo wiosenne, błękitnym,
Rodzi się naga, czysta Afrodyta,
Symbol miłości, który był uchwytnym
Dla ludzkich źrenic, bogini, spowita
W ludzkiego urok ciała: jako kwiat — kobiéta!

XXXIX.

I pokąd Venus dzierżyła swe berło,
Naokół bioder nieodziana szmatem,
Póty i miłość równała się z perłą,
Jak tonie czystą; w jej źródle, bogatem
W promień niebiański, nie znalazłeś brudu:
Zbrodnia rozpusty owładnęła światem
Z chwilą, gdy zastęp śmiertelnego ludu
W Izydy tajemnicach począł szukać cudu.

XL.

Tak! tak! pamiętam; gdym jej mówił o tem
Na naszych długich przechadzkach, śród woni
Lipin rozkwitłych i pod słońca złotem;
Śród łąk, gdzie owad w rozkosznej pogoni
Wzlatywał z kwiatka na kwiatek; śród kłosów
Żyta, na pulchnej szumiącego błoni;
Śród dźwięków pieśni, pod sklepem niebiosów,
Rozbrzmiałych słodką nutą przetysiączynych
[głosów;

XLI.

Gdym jej tłumaczył, że te drzew konary
Ze pniem się wiążą przez miłość; że zioła
Stroją się w koron mnogobarwne czary
Ręką miłości, co wian u ich czoła
Tchem swym spłodziła i na nowych przyjście
Koron wciąż nowy rzuca blask dokoła;
Że zapłodnione przez nią kłosów kiście
Wydadzą jutro ziarno, sypiące rzęsiście;

XLII.

Że dla kobiety najwznioślejszą chwałą,
Którą nam surmą jerychońską głosić
I wielbić hymnem chaldejskim przystało,
Jest: zostać matką, w łonie swojem nosić
Przyszłych pokoleń żyjące ogniwa;
I że tem chryzmem, którem trzeba zrosić
Zawiązki bytów, winna być ta żywa
Krynica, co nie z ustaw lecz z uczuć wypływa;

XLIII.

Gdy moje słowa mieszały się z echem
Boru ciemnego, co majestatycznie
Snać mi wtórował i świeżym oddechem,
Wonią żywicy, sypał ustawicznie —
Niby kadzidłem na cześć Wszechmacierzy,
Co śród swych płodów, rozsianych przelicznie
Po tym wszechświecie, co u stóp jej leży,
Królowej samowładnej złote berło dzierży:

XLIV.

Wtedy śród drogi moja Beatrycze
Nieraz stawała i, jako lilije,
Niebieskie oczy topiąc w me oblicze,
Swą ręką białą objęła mą szyję
I na me usta, drżące od tej świętej
Skry, co się w głębi naszej duszy kryje,
Kładła całunek — niemy, niepojęty
W rozkoszy swej, z uczucia serdecznego wszczęty.

XLV.

A gdym jej wspomniał, że nawet śród tłumów
Myśl o dniu nowym swe odblaski ciska,
Że szumi nakształt nieuchwytnych szumów
Drzew, co wyrosły nad brzegiem urwiska;
Że matka moja, ta kobieta z gminu,
Nieraz mnie, dziecku, szeptała, jak bliska
Jest już godzina potężnego czynu,
Co zmieni świat — godzina szczęścia i wawrzynu;

XLVI.

Jak się ruszają gdzieś uczeni ludzie,
Jak nawet ojciec, który był tragikiem
I filozofem i wszelkiej obłudzie
Wytaczał walkę, o wszystkiem językiem
Prawił natchnionym, że przyjdzie niebawem
Dzień, gdzie nikt ostrym nie zrani przytykiem
Matki za miłość; i że wszystkiem prawem
Dla świata będzie serce, choć dziś tak jest krwawem:

XLVII.

Gdym jej to wspomniał, tak szepnęła ku mnie,
Że pragnie matce ucałować ręce;
A na me słowa, jako matka w trumnie
Legła już dawno po przebytej męce,
Z ócz jej, widziałem, czysta łza pociekła
I usta zmilkły, jakby niemowlęce —
O ja wam mówię, gdyby tylko rzekła,
W tej chwili byłbym za nią poszedł i do piekła,

XLVIII.

I ona za mną — tak! i ona, wierzcie,
Byłaby za mną poszła do ciemności
Hadu... I poszła!... poszła! Ha! rozgrzeszcie
Wy ją z tej winy, co wśród naszych kości,
Rozgrzanych ogniem pożądań, od razu
Rodzi się w pełnym rynsztunku, z miłości
Rodzi się — ludzkiej, nakształt tego płazu,
Co z słońca wiosennego, powstaje rozkazu.

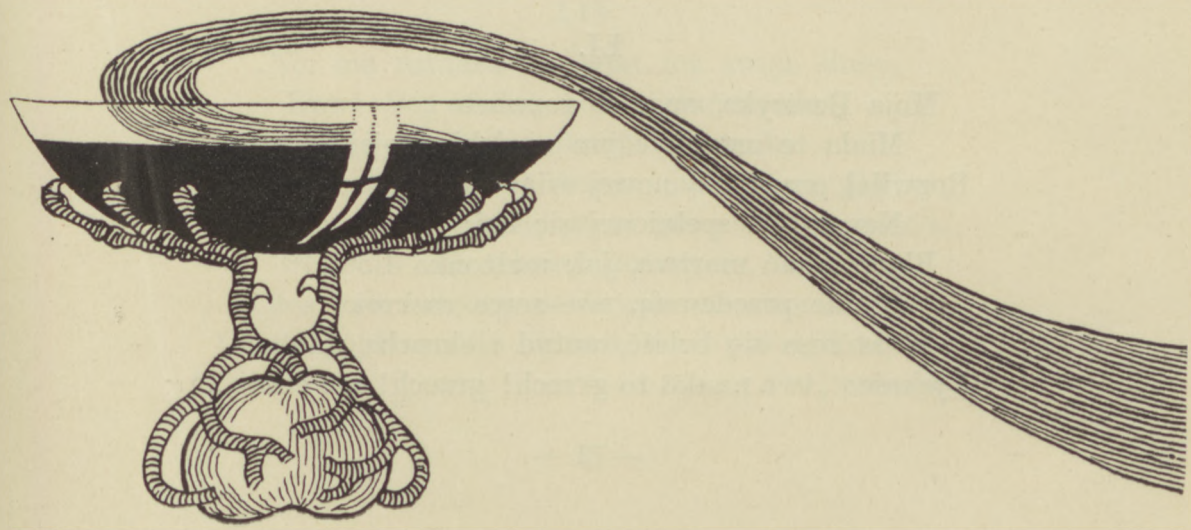

XLIX.

I głów ta wina ma tysiąc, jak owy
Płód, wylęgnięty w starogreckiej baśni...
W nas zaś zabrakło mocy Heraklowej,
By wyjść zwycięzko z tej krwiożerczej waśni,
Która się wszczęła z rozpędem żywiołów,
A tak gwałtownie, że — lampę zagaśnij,
Albo źrenice wykłuj z ocznych dołów,
To blask nie szybciej w zmroku przemieni się
[w ołów.

L.

Ramię tej winy, żelaziste ramię,
Precz odepchnęło postać zbawicielki —
Chłodnej rozwagi, która jedna łamie
Zastęp złych duchów i ich zakus wszelki...
Tak! nad rozwagą, która w wnętrzu mieści
Wszystką rozterkę kojące kropelki,
Silniejszy grzech był, urodzony z treści
Uczucia, gdy je ciało dotykiem zbezcześci.

LI.

Moja Beatryks, ona, co rozwarte
Miała te usta, kiedym z głębi swojej
Rozwijał przed nią nowej wiary kartę,
Naraz idei spełnionej się boi:
Blada, snać martwa, jak małżonka Lota,
Stanie przedemną, swe serce rozkroi,
W którem się boleść, wstyd i skrucha miota,
I jęknie: „twa nauka to grzech! grzech! nie cnota...“

LII.

„Tak! grzech!“ powiada „albowiem nie czuje
Odwagi w sobie, aby we świat rzucić
Jasne spojrzenie... Wstyd się za nią snuje,
Widzi to dziś już, gdzie tylko obrócić
Pragnie swe kroki... Wszyscy w okół ludzie
Nie poprzestaną jej żywota kłócić,
Głośno lub cicho (hołdując obłudzie),
Tem słowem, co w ulicznym zrodziło się brudzie.

LIII.

„I świat ma słuszność, gdyż w powszechnym
Drży echo boże... Tak ją nauczono [głosie
Wierzyć i w martwym upadną pokosie
Ci, którym inna myśl wypełni łono...
Tak! dawną wiarę, ongi przez me słowo,
Przez moje zdradne pokusy stłumioną,
Dziś wstyd w jej wnętrzu rozbudził na nowo,
Zapóźno, aby tego nie opłacić głową...

LIV.

„Nie ma ratunku!... Świat ma swoje śluby,
Które Bóg nadał, aby z pierworodnej
Oczyścić winy — miłość i od zguby
Uchronić człeka; Szatan, jak zwierz głodny,
Krąży, by zepchnąć go w przepaść bezprawia...
Ślub nie ma władzy po czynie, a zgodny
Głos ludu między publiczne nas stawia:
Chodź pójdziem do ołtarza, dawny wstyd się
[wznawia...“

LV.

Tak więc, widzicie, od razu straciła
Moja Beatryks poczucie zadania,
Od razu niska owładła nią siła,
Co na wyżyny ludziom wejść zabrania,
Na te wyżyny, z których człowiek wzgardę
Rzuca na przesąd i, chcąc panowania
Światła, ku niebu wznosi czoło twarde,
By chmury niem rozedrzeć, swą ciemnością harde...

LVI.

A ja?... Przenigdy nie zapomnę chwili,
W której się grzech mój narodził śmiertelny —
Rozbrat z mą myślą... Wszyscy, jacy byli
Syci żywota, tej jego bezczelnej
Zbrodnią, lub bólem pooranej twarzy;
Ci, co ginęli od trucizny zielnej
Albo od jadów zwierzęcych, lub wrażej
Potęgi metalicznej, która na śmierć parzy —

LVII.

Wszyscy ci biedni i nędzni, co w ziemi
Niepoświęconej znaleźli wytchnienie,
W grobie samotnym, zarosłym marnemi
Trawy, przeklętym, w niepamięci cienie
Na wieki wieków rzuconym z prostaczej
Tłumów pogardy: czyż większe cierpienie
Czuli nademnie, gdy ona rozpaczy
Okrzykiem „jestem matką“! boleść swą zaznaczy?!....

LVIII.

Nie!... Ja wam mówię: odbiegły mnie zmysły!
Jakby pod wpływem szatańskiej hypnozy,
Tak naraz wszystkie marzenia me prysły,
A na ich miejscu stanął obraz grozy:
W mej myśli wielkiej, w apostolstwie mojem
Ujrzałem zbrodnię wśród wszetecznej pozy,
Rozpustę w pląsach z bezwstydnym Opojem,
Nierządnic i pijanic otoczoną rojem...

LIX.

I zaciążyła nademną przewaga
Względów, którymi walczy tłum... I w uszach
Biły mi gromy, jaka hańba naga
Moją Beatryks w swych objęć katuszach
Będzie trzymała na zawsze; że wszyscy,
Co pozór cnoty mają w swoich duszach,
A są, jak węże i jaszczurki, śliscy,
Plwać będą i do nizin spychać, sami niscy.

LX.

I uwierzyłem w krwawy wyrzut matki,
Żem nie prorokiem, ale kusicielem;
Że jestem z gminu, a z gminu odpadki
Tylko wyjść mogą; że trującem zielem
My, dzieci gminu, wijem się, zepsuci
W jądrach serc naszych, sycący weselem
I szczęściem innych swe poziome chuci —
Że trujem, w swym oddechu, jak dżuma, zatruci.

LXI.

Że się wślizgnąłem chyłkiem do ich domu,
Jak pies skomlący z zimna, by za ciepło
I za kęs chleba zgotować im sromu
Straszną biesiadę, która krew zakrzepłą
Rozburzyć może, albo ściąć wzburzoną;
Że jej źrenica była wskroś oślepłą,
Gdy nie dostrzegła od razu, iż stroną
Odemnie czart nie chodzi, lecz wnikł w moje łono.

LXII.

Że w każdym dźwięku mego słowa drżało
Ohydne kłamstwo; kłamstwem wszystkie mary
O mej przyszłości, co się nigdy w ciało
Oblec nie mogła, bo warunki wiary
W nią były kłamstwem... W każdym moim ruchu
Fałsz się kołysał, a największej kary
Ten fałsz jest godzien w mych fałszów łańcuchu,
Przez który zamieszkałem w Beatryczy duchu...

LXIII.

Trzeba mnie było odegnać od progu,
Bo hańbą jest już dla dobrej rodziny,
Jeśli nędzarze, powstali z barłogu,
Wśród niej są gośćmi, płody ludzkiej winy,
Wytwory grzesznych pożądań... Cóż na to
Rzec, gdy je człowiek weźmie za swe syny!
Trzeba mieć duszę w bezczelność bogatą,
By znieść wyrzuty zacnych — ze czci swojej stratą...

LXIV.

Tak! ja wam mówię, byłem w takim stanie,
Że mi się zdało, jako gmach się wali,
Płonąc, nademną: tu pada wiązanie
Na grzbiet mój wątły, gniecie go i pali,
Tam gruz się sypie na głowę rozpiekły,
A tu w płomieni groźnej, ciężkiej fali
Wzrok utraciłem, tu już śmierć orzekły
Zarzewia, co mi w gardło gęstą lawą ściekły...

LXV.

I jąłem wierzyć w prawidła ascety,
Męża, co, żywot strawiwszy na puszczy,
Przestał już ludzkiej doznawać podniety,
Jaką się kala ciało grzesznej tłuszczy —
Męża, co głosi, że miłość tak długo
(Świętych wam księga tę prawdę wyłuszczy)
Boskich promieni rozlewa się strugą,
Dopóki nie zostanie materyi sługą.

LXVI.

I ponurego mądrość filozofa,
Którą gardziłem, świadom celów życia,
Wiedząc, że człowiek to Dantejska strofa,
Mająca w sobie początek spowicia
Dalszych strof, naprzód płynących bez końca —
Owóż ta mądrość, co pragnie ubicia
Ludzkich pokoleń, zmieniła mnie w gońca
Swojego: tak! z jej wroga stał się jej obrońca...

LXVII.

I pod jej wpływem jęła niby z ziarna
Demonicznego, myśl kiełkować we mnie,
Jak piekło wrząca i jak piekło czarna —
Myśl, którą stłumić pragnąłem daremnie:
W jednej sekundzie ach! do tak potwornych
Wzrosła rozmiarów, że mą duszę w ciemnię,
Nakształt jesiennych pomroków wieczornych,
Zmieniła: by je przedrzeć zbrakło sił odpornych...

LXVIII.

I korzystając z rozpaczliwych wzruszeń,
W jakie mnie swoją wprawiła boleścią
Biedna Beatryks, poczęła w pokuszeń
Wikłać mnie sidła: „Patrzaj! wszystką treścią
Ludzkiego życia to nicość“ — tak szepce
Wciąż mi do ucha z słodyczą niewieścią,
Albo szczebiocąc, jak dziecię w kolebce,
Lub cedząc słowa mędrca, co zakony depce.

LXIX.

„Siła Samsona to garść nędznych włosów...
Kulka z ołowiu, kawał martwej stali,
Kropla rozczynu dostarczy pokosów
Ludzi, co oto po żywota fali
Płyną z potęgą pancerniczej łodzi...
Człowiek“ — tak kusi mnie ów Szatan dalej —
„Przynosi z sobą, gdy na świat przychodzi,
Tę słabość, z której śmierć się wraz z występkiem
[rodzi...“

LXX.

Śmierć i występek!... Boże!... Boże!... Boże!...
To dwie przyczyny niedoli człowieczej!
Zgnieść je w zarodku kropla płynu może...
Kropelka płynu spłucze zło wszechrzeczy —
Śmierć i występek! W obrębie przestworu
I czasu niebyt zawładnie — od cieczy,
Którą sam człowiek, spragniony pomoru,
Wycisnął z roślin bagnisk, albo z jagód boru...

LXXI.

I tajemniczą, wnet zapędzon burzą,
Naraz stanąłem we wnętrzu jej domu
I rzekłem do niej: „Ludzie zbrodni służą!
Przyszedłem ciebie ratować od sromu,
Zniszczyć choć jeden występku zaczątek —
Tak! tak! występku!... Dotychczas nikomu
Grzech nasz nieznany... Masz! pij!... Oto wrzątek,
Co paląc, wsiąknie w zbrodnię, w jej najskrytszy
[kątek...

LXXII.

Tak! kusicielem byłem... Tak! przyznaję:...
Ale czas jeszcze!“ „A ty, słuchaj, pani! —
Rzekłem do matki — „zbrodnia pozostaje
Zbrodnią, choć człowiek ma święcenie dla niéj
W swoich ustawach: małżeństwo czy miłość
To jeden grzech jest!... Tak! co duszę rani
I co ją strąca na zbrodni pochyłość,
To ta łącząca ciała grzesznych żądz opiłość...“

LXXIII.

I potem naraz owładła mną cisza;
Jakaś ukryta chytrość truciciela,
Podstęp złodzieja, jakiś spryt hołysza
Opięły duszę moją nakształt ziela
Co się owija wokół pniów... Błagałem
O przebaczenie, jako już wesela
Nie znajdę odtąd w mojem życiu całem —
A potem... że są środki... znak tajemny dałem...

LXXIV.

Lecz gdym z ócz matki, błyszczących niezdrowo,
Poznał, że nie trza było mojej rady,
Wtedy szał dziki porwał mnie na nowo.
Z krzykiem: „zbrodniarki! trucicielki! gady!“
Nóż pochwyciłem, aby ostrze jego
Utopić w łonie tych kobiet... Sąsiady
Na krzyk się zbiegli i mnie, szalonego,
Wynieśli... Ten, widzicie, ten był koniec złego...

LXXV.

Tak! ten był koniec mej wielkiej miłości,
Co mi zabiła wielką myśl... A one?
W ich domu dzisiaj cześć i honor gości;
Nikt o tem nie wie, że zbrodnią splamione...
Beatryks moja — szczęśliwa, ma męża,
Co prostą drogą zdobył sobie żonę,
Drogą do — ślubu, tak, jak każą — księża:
Ich prawda zwyciężyła ach! i wciąż... zwycięża...

AMOR VINCENS

Fragment z dziejów duszy idealisty

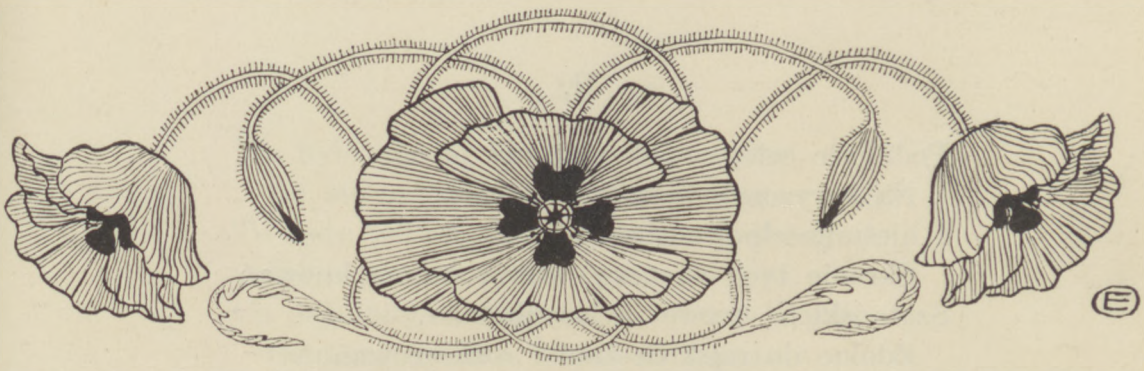

There was a Poet...
Shelley: Alastor.

Wszystko się dziwnie plećie
Ná tym to biédnym świecie,
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodźić,
Y zginie, á nie będzie umiał w to ugodźić.
Jan Kochanowski: Pieśni (I. 9.)

. . . . . i pomogła mu młoda niewiasta,
Ellenai . . . . .
Słowacki: Anhelli.

I.

Był pewien człowiek, co, „jak Dant za życia“ —
W dniach swej młodości — przeszedł przez palące
Katusze piekła“. Ze swego ukrycia,
Gdzie nigdy złote nie zajrzało słońce,
Jakowyś demon pędził do rozbicia
Łódź jego duszy poprzez fale wrzące
Namiętnych szałów i dążeń, niezwykłych
Dla jestestw słabych i, jak atom, nikłych.

II.

Podniosłe cele, co jak gwiazdy płoną
Na horyzoncie ludzkich usiłowań
I nieśmiertelnej zasługi koroną
Skronie tych wieńczą, którzy, mimo knowań
Szatańskich, czyste zachowali łono,
Zdolne do rajskich złud i rozkoszowań,
W dziwne w nim duch ów łączył amalgama
Z tem, co jest niskie i brudne, jak plama.

III.

Pycha i ludzi pogarda i żądze
Zakosztowania trującego płynu,
Gnuśność, co złote zamyka wrzeciądze
Owej świątyni, w której ołtarz czynu
Pnie się gotycki, oto, jak pieniądze
Zdrajcy Judasza, będącego z gminu
Sług Mamonowych, chciały na Golgotę
Oddać w nim człeka zbawiającą cnotę.

IV.

Chciały na zawsze — tak! bez zmartwychwstania
Jasnej nadziei, przybić w nim do krzyża
Ową pokorę, łagodną, jak łania,
A która przecież śmiertelnika zbliża
Ku sferom bóstwa i giąć się zabrania
Przed pysznym światem; pańskiego żołnierza
Zapał, co nigdy w drodze się nie trudzi,
Chciały w nim zabić wraz z miłością ludzi.

V.

Nie było chwili, by się w jego duszy,
Od lat najmłodszych wychowanej w znoju,
Te dwie potęgi, jak w pustynnej głuszy
Dwie tygrysice, nie rwały do boju,
Co najsilniejsze wnętrza w niwecz kruszy
Ostrzem wysiłku, obuchem rozstroju —
Nie było chwili, aby w tej rozterce
Spoczęło walką potargane serce.

VI.

Daremnie pragnął ukojeń; zmęczony
W tej twardej drodze, jak Orestes, biczem
Krwawych Erynyj smagany, obrony
Szukał w źródlisku wiedzy tajemniczem,
Popod gwiaździste chodził nieboskłony,
Na ziemię padał spłakanem obliczem
I pod razami tych siekących batów
Usta przyciskał do traw i do kwiatów.

VII.

Lecz blaski słońca i gwiazdy i zorze,
Świty poranne i tęczowe wstęgi
I ziół zapachy i rosy, co w morze
Srebrne się łączą, i uczone księgi
Nie potrafiły na spokoju łoże
Rzucić szalonej demonów potęgi,
Ormuzdowego nie miały zaklęcia,
By w pył rozproszyć wrogie przedsięwzięcia.

VIII.

Daną mu była przez łaskawe bogi
Zdolność, nad wszystkie ponętniejsza skarby,
Że mógł żywota nagie, ostre głogi
Przemieniać w róże Poezyi i farby
Zlewać cudnemi pył ten, co się nogi
Naszej uczepia; umiał wtłaczać w karby
Kunsztownych zwrotek, pełnych wzniosłej treści,
Nadmiar szarpiącej mu duszę boleści.

IX.

Więc też i teraz, gdy mu wnętrze toczy
Walka pierwiastków, złożonych w naturze
Wszystkiego człeka, jął błagalne oczy,
Jak zwierz, prowadzon na rzeźniczym sznurze,
Zwracać w tę stronę, gdzie pośród przezroczy
Stref wymarzonych, w królewskiej purpurze,
Jako latarnia wśród morskiej przystani,
Świeci ta wielka, ta królewska Pani.

X.

Ale, o! zgrozo! w źrenicach królowej
Przygasł ten promień, co ongi wykrzesza —
Bywało — żar mu ze serca; lodowy
Smętek, jakiego nie zaznała rzesza
Chodzących dołem, zwarł jej usta; z głowy,
Zamiast warkoczy, tłum się węży zwiesza,
Złączon na szyi w skamieniałe guzy,
Jak u mitycznej, straszliwej Meduzy.

XI.

Błagał, zaklinał, wił się, jak gadzina,
U stóp jej martwej postaci — daremnie!
W piersi z marmuru życie się nie wszczyna,
Zbielałe oko nie zmienia się w ciemnie
Źródeł głębokich... Nadzieja jedyna,
W bolącej duszy żywiona tajemnie,
Że w niej, w poezyi, zbawcze znajdzie leki,
Razem z jej okiem zgasła snać na wieki...

XII.

Nie! Być nie może! Jeszcze raz się rzuci,
Jako Pigmalion na jej kształty z głazu,
Ognia się jeszcze w tem łonie docuci!
Wszak niepodobna, aby tak, od razu,
Miało żywotnej pozbawić się chuci,
Skutkiem szatanów skrytego rozkazu;
To, co młodzieńczą duszę wczoraj jeszcze
W silne wprawiało i rozkoszne dreszcze.

XIII.

I jak Pigmalion, ale z rozpustnika
Pożądliwością, zrodzoną z rozpaczy,
W obięcia swoje zimny głaz zamyka,
Drogę do piersi spiekłą śliną znaczy,
Pomiędzy wargi przeciska języka
Koniec spalony; wzorem owych graczy,
Partnerów kartą bijących fałszywą,
Coraz się bardziej pali nad — nieżywą.

XIV.

Patrzcie! zwyciężył! zwyciężył! zwyciężył!...
Jak elektryczną poruszony siłą,
Kształt się umarłej do góry wyprężył
I wzniósł źrenicę, niezwykle opiłą
Blaskiem — fosforu: stopniał lód, co zwężył
Usta, rozkwitłe pełnią róż, przemiłą
Woń wydających, i z pod zębów cieśni
Znów, jak z pod skały, trysnął strumień pieśni.

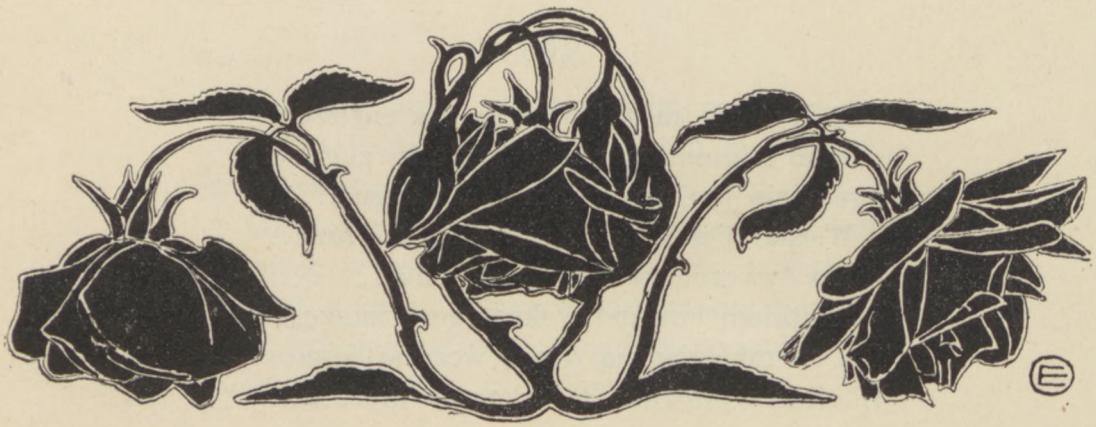

XV.

Lecz to nie były te cudowne zwrotki,
Duchem łagodnej harmonii przejęte,
Co goi rany; to nie zdrój był słodki,
Jasny i świeży, co zioła pomięte
Podnosi znowu ku niebu i wiotki
Krzak zmienia w dębu konary niezgięte
I ziarna z twardej wydobywa ziemi,
By się pokryła kłosy złocistemi.

XVI.

Nie! antytezą była pieśń ta nowa
Wszelakiej pełni i wszelkiego życia:
Zawiędła w rdzeni, zwątpieniem niezdrowa,
Tłumi nadzieję już u jej spowicia,
Wiarę tam spycha, gdzie przepaść grobowa,
A znak miłości, który od rozbicia
Ochrania wszechświat, w nienawiść przemienia,
Świeżych wciąż ofiar żądną i zniszczenia.

XVII.

Złudą i czczością zowie te uczucia
I te z uczucia zrodzone rozumy,
Które z sobkowskiej martwoty, z zepsucia
Gniazd pokalanych wyrywają tłumy,
By, mimo głazów, mimo cierniów kłucia,
Pędziły przed się, wsłuchane w poszumy
Prawdy, ukrytej w wszechświata atomach,
Stawiać gmach cnoty na występku złomach.

XVIII.

I w tych zbrodniczych rozpoznawszy zgrzytach
Echo swej duszy, przeklnie dawne bóstwo,
Że wieść go jęło nie po gwiazdnych szczytach,
Lecz po przepaściach, gdzie się gadów mnóstwo
Czołga obleśnych, co nigdy w błękitach
Głów nie skąpały, co swoje ubóstwo
I swą pełzliwość kryją przed obliczem
Niebios, słonecznym oświeconych zniczem.

XIX.

I znowu zmilknie, znów w bryłę kamienną
Zmieni się jego królowa na skutek
Klnącej Rozpaczy... Samotny, w bezdenną
Zatopion boleść, pójdzie, jak wyrzutek,
Zdala od swoich milczeć, ducha w senną
Sieć upowijać; tylko czasem smutek,
Co wśród apatyi nagle się odzywa,
Na ludzką nędzę jęk mu wydobywa.

XX.

Na ludzką nędzę, nie tę, co łachmanem
Okrywa plecy od zimna czerwone,
Nie tę, co wrzeszczy: *circenses et panem!*
I pożądliwem patrzy okiem w stronę,
Gdzie przy biesiadzie tulą w sen, nad ranem,
Syci Lukulle głowy, uwieńczone
W pomięte róże, i nie tę, co z głodu
W krwi dla stóp nagich poszukuje brodu.

XXI.

Na ludzką nędzę, tę, co, w ziół rozkwicie
Wielbiąc barw tęczę, nie umie robaka
Dojrzeć, jak korzeń podgryza im skrycie
I szkarłat — króla zmienia w szmat — żebraka;
Na ludzką nędzę, tę, co w gładkiej płycie
Jasnych metali, lśniących niby jaka
Powierzchnia wody, rdzy nie widzi zębów,
Ani też próchna wśród komórek dębów.

XXII.

Na ludzką nędzę, tę, której się zdaje,
Że człowiekowi, gdy ulata myślą
Tam, ku niebiosom, w te ogniste kraje,
Gdzie gwiazd miliony swe orbity kreślą,
Gdzie słońce gaśnie i gdzie słońce wstaje,
Jakoweś siły spraw poznanie przyślą
I że się z jego połączy żywotem
Szczęście, w poznaniu lśniące prawdy złotem.

XXIII.

Czasem zaszydzi z tych, co chcą napoju
Zaczerpnąć z myśli krynicy głębokiej,
I tych, co, zawsze gotowi do boju,
Jako rycerze, zwracają swe kroki
Tam gdzie czyn spłasza anioły spokoju;
I tych, wyszydza, co, wiedząc, że zwłoki
Nie cierpią lata, jak motyle, skrzętnie
Z życia spijają miód w pospiesznem tętnie.

XXIV.

A potem mocą strasznej konsekwencyi
Do tego dojdzie myśli rezultatu,
Który ma w sobie trującej esencyi
Ilość dostatnią, by ludzkiemu światu
Stawić ideał gnuśnej impotencyi,
I że brat świadczy dobrodziejstwo bratu
Gdy niepewnemu ostrą poda brzytwę,
Potem sam życia zakończy gonitwę.

XXV.

Bo człek jest na to, by — umarł; że prosta
Rzecz to i zgoła dociekań nie warta:
Jakkolwiek ludzie, gdy ich życie chłosta,
Drżą, zamiast lekko puścić je do czarta!
Jakkolwiek Manfred, Faust, Juan, Akosta
I najzwyklejszy śmiertelnik (uparta
Taka w nas dusza) dziwnym chcą sposobem
Mieć z życia rozkosz, co nie trąci — grobem.

XXVI.

I sam też nieraz w samotych godzinach,
W których izdebkę zamieniał na celę,
Kiedy tak dumał o nędzy przyczynach,
Wyganiającej ze świata wesele,
Bliskim był winy, jaka w ludzkich winach
Stoi na przedzie: w swej duszy popiele
Czując, że świętych skier już nie rozżegnie,
Chciał pójść śladami, którymi śmierć biegnie.

XXVII.

Ale we wnętrzu jestestw, z losów woli
Zrodzonych na to, ażeby do końca
Na scenie świata w oznaczonej roli
Wytrwać, ukryty mieści się obrońca
Prawa natury, władzca ludzkiej doli:
Elementarny pęd życia, jak słońca
Blask, który na to rodzi się co rano,
By zioła rosły, lub by je — deptano!

XXVIII.

Wtedy to poszedł między przyjacioły,
Między lekarze i między znachory:
Spojrzeniem, ruchem na los nie wesoły
Chciał z nich wydobyć lekarstwo, na zmory
Ucisk gwałtowny, co, jako jemioły
Kwiat pasożytny, wciskała się w pory
Jego jestestwa, ssąc najlepsze soki
I powtrzymując wszystkie żywsze kroki.

XXIX.

Jak owo dziecko-niemowlę, co matce
Boleść lub przestrach wyraża z pomocą
Nieokreślonych krzyków, lub jak w klatce
Człowiek, któremu szał posępną nocą
Duszę ogarnął, lub jak zwierz, w zasadce
Czujący naraz, że mu się szamocą
Stopy, tak on się w obec nich zachowa,
Lecz wyraźnego nie wyrzeknie słowa.

XXX.

Czasami maskę przybiera bajazza,
Śmieje się, ciało w dziwne łamie skręty,
Jak gdyby żadna nie tknęła zaraza
Duszy mu biednej, jakby bój w nim wczęty
Oddał zwycięstwo w ręce Oromaza,
Symbolu światła, lub jakby go w pięty
Kastratów podłe łaskotało plemię
Wśród lepkich hurys, w rozkosznym haremie,

XXXI.

Lecz przyjaciele oko mieli baczne,
Pozór spostrzegli w tem, co on podawał
Za jasną prawdę; widzieli opaczne
Linje, przy których prostości obstawał,
I na godziny, wesołością znaczne,
Rzekli: to wielki post, a nie karnawał.
A jeśli gody, to szaleńca gody,
Co ma kałuże za kryniczne wody.

XXXII.

I nad tym bytem, co się w walce łamie,
Jako ta z liści odarta łodyga
Pod biczem wiatru; nad bytem, co znamię
Widocznych cierpień na swych barkach dźwiga,
A każdym ruchem, każdym rysem kłamie,
Zdjęta litością wiernych druhów liga,
Z słów mu życzliwych taką radę splecie:
„Niech się zakocha! Zbawienie w kobiecie..“

XXXIII.

Jakto? gdy urok wiedzy niezbadany,
Który Hypatyom wlewał zdroje męstwa,
Że te krwawiące z rąk wstecznikow rany
Nie mogły odnieść nad niemi zwycięstwa,
A Galileom, zakutym w kajdany,
Wyrywał tryumf, a nie krzyk przekleństwa —
Gdy dziś ten urok stał mu się przedmiotem
Szyderstw, kobieta ma-ż być prawdy złotem?

XXXIV.

Jakto? Przyroda, ta wspaniała, wielka,
Codziennie nowe tworząca obrazy,
Ona, co sprawia, że jedna kropelka
Cały swiat kryje, ta matka ekstazy
Niewysłowionej, piewców rodzicielka,
Atomy pyłków zmieniająca w głazy,
Mniejszą-ż by miała siłę w swym ogromie,
Niż jest w kobiecie, w tym jednym — atomie?

XXXV.

Jakto? więc dobro, ten pierwiastek boży,
Wlany nam w duszę przez Stwórcę wrzechrzeczy,
Przez władcę tego, co pod blaskiem zorzy,
Co pod osłoną promienistej pieczy
Słońca się rodzi, nowe byty tworzy,
Że się z podziwu wikła rozum człeczy,
Samo ze siebie złego nie zwycięża,
A ma zwyciężyć — służebnica węża?!

XXXVI.

Jakto? nad wszystko, co duch czysty spłodził
I co się stało dążeniem szermierzy,
Hasłem pokoleń, które szatan wodził
Po ciemnych jarach, a które na świeży
Pragną wyjść przestwór, gdzie się dzień narodził,
Gdzie nagość szczęścia w całej pełni leży,
Ma-ż być silniejszym ów symbol słabości,
Kobieta, wytwór Adamowej kości?!

XXXVII.

Ona co z raju wygnała człowieka,
Pierworodnego grzechu praprzyczyna,
To martwe morze, przed którem ucieka
Ptak, by nie przyszła nań śmierci godzina,
Ona, gdy dusza w rozpacz się obleka,
Gdy ją do ziemi bez litości zgina
Ten zła i dobra straszny pojedynek,
Ma-ż jej zgotować raj i wypoczynek?!

XXXVIII.

Grzechem jej miłość i zgubą, spodleniem
Ludzkiej natury, powiązaniem skrzydeł,
Gdy chcą nas unieść ponad ziemskim cieniem;
Klatką i kojcem, okiem nowych sideł,
Które zastawia Belzebub, ze drżeniem
Patrzący na to, jeżeli z wędzideł
Piekła duch ludzki wydostać się pragnie,
By nie utonąć w beznadziejnem bagnie...

XXXIX.

Śmiał się; lecz rada przyjaciół żywiołu
Rozpętanego tajną miała siłę...
Jak człek, co, pośród jeziornego dołu
Niechybną widząc dla siebie mogiłę,
Zielska się czepia, aby z niem pospołu
Zginąć, tak on też od bolu opiłe
Serce w miłościach z niemym topił śmiechem,
Które — Rozpaczą były, albo — Grzechem...

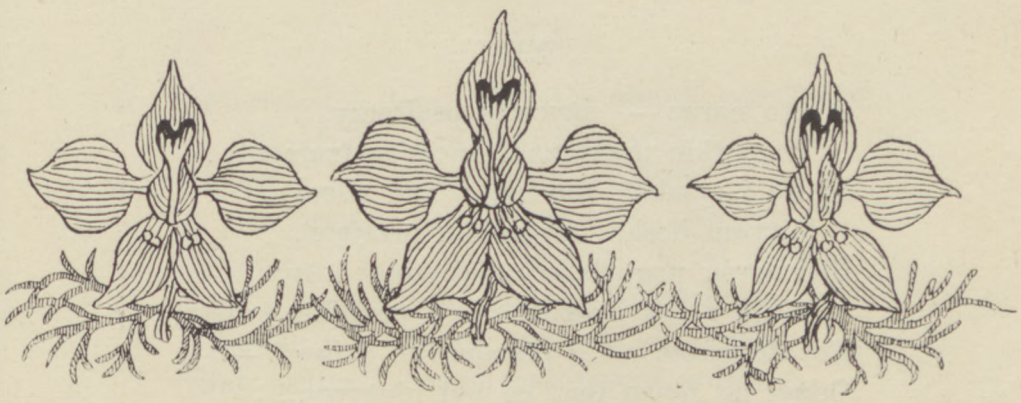

XL.

I popadł cały w zdrętwienie; duch jego
Stał się granicznym słupem między zbrodnią,
A między cnotą, między drogą złego,
A drogą dobra, lecz stracił przewodnią
Świadomość dawną, co dobre, a czego
Tykać nie wolno, bo jest złe... Był kłodnią,
Pniem w pół przeciętym, wyrwanym ze ziemi,
Wraz z korzeniami, dłońmi zabójczemi.

XLI.

Poprzestał walczyć, aby zwycięstw szalę
Na stronę dobra przechylić... Źrenicą
Szklaną i zimną nie widział już wcale,
Gdzie zmrok się kłębi, a gdzie blaski świécą.
Płynął bez wiosła, rzucony na fale,
Jak kawał drzewa!... Podobien dziedzicom
Chorób, zrodzonych z rozpusty ojcowskiej,
Przestał już głoskę odróżniać od głoski.

XLII.

A oto naraz — użyczcie psałterzy,
Wszystkie muzyczne dajcie instrumenta,
Harfę i cymbał, niechaj w nie uderzy,
Miryam boska, tryumfem przejęta,
Gdy wróg pognębion u jej stopy leży;
Niech z ust Dawida pieśń popłynie święta,
Bo oto naraz — o przedziwne dziwy! —
Odżył na nowo ten, co był nieżywy...

XLIII.

Bo oto naraz, jakby od zachodu —
Od brzegów morskich, w sierpniową spiekotę
Spłynęły z wiatrem nikłe pyłki lodu
I, niewidzialne dla oczu, ochotę
Wlały widoczną w żyły tych, co z głodu
I ze zmęczenia upadli, robotę
Pozostawiwszy w pół niedokończoną,
Świeży prąd życia przebiegł jego łono...

XLIV.

Wśród jego pojęć, powikłanych, sprzecznych,
Tęczowa naraz zabłysła harmonia,
Spójnia, złożona z promieni przedwiecznych,
Którym jest obcą posępna agonia,
Spójnia, co węzłem sojuszów bezpiecznych
Łączy nas z bóstwem, nieśmiertelne błonia
Otwierająca dla tłumów śmiertelnych,
Słabych w szermierzy zmieniająca dzielnych.

XLV.

Pierwiastek dobra wzrósł w nim do rozmiarów,
Wypełniających całe jego wnętrze,
I swym ogromem i potęgą czarów
Przygniótł, oślepił, coraz to gorętsze
Sypiąc skry w koło, siłę zła, że w parów,
Z którego duszy zapędy najświętsze
Trudno już wiązać, stoczyła się, zgoła
Jak szatan, strącon oszczepem anioła.

XLVI.

Czystym się uczuł, bo obmyty chrzestem
Nadziei, wiary i wielkiej miłości;
Z dumą zawołał: Oto znowu jestem!
Oto duch boży znowu we mnie gości
I znów mnie wiedzie skrzydeł swych szelestem
W środek gotyckiej świątyni ludzkości,
Bym na ołtarzu jej pragnień, jej bojów,
Składał ofiarę z własnych trosk i znojów

XLVII.

Apokalipsy świat przed jego okiem
Wnet się roztoczył, jasny, pełen cudów,
O jakich przedtem nie marzył, natłokiem
Szałów zgnębiony: łańcuch, skuty z trudów,
Zmienił się w wieniec i kołem szerokiem
Otoczył wszystkich; wśród najsłabszych ludów
Płynęła siły zbawiającej rzeka,
Co do potężnych czynów pcha człowieka.

XLVIII.

Z pieśnią na ustach — bo i ta, w młodzieńczéj
Krasie, grobowej uszła z nim zatracie,
Wonna, jak kwiat ten, który lipy wieńczy,
Słodka, jak miód ten, co mieszka w tym kwiacie
Silna, jak napój, gdy ten miód rozcieńczy
Grzybek fermentu, — poszedł, w majestacie
Potężnej woli, głosić bez wytchnienia
Naukę czynu, hasło odrodzenia.

XLIX.

Szedł z apostoła bożego pokorą,
Lecz i z odwagą Pańskiego wysłańca,
Żadną nie wstrzyman przeciwieństw zaporą,
Jak Dant, w sam środek piekielnego tańca,
Szedł krzepić ciało, wzmacniać duszę chorą,
Rozpraszać zmroki blaskami kagańca,
Szedł pośród cierni, lodów, wrogiej zgrai,
A z nim szła razem wierna Ellenai.

L.

Tak! Ellenai!... Argument rozumu
Żaden nie starczy, by przyczyny zbadać,
Dla czego człowiek, który pośród tłumu
Stworzeń królewskiem umie berłem władać,
Nieraz zależny jest od tego szumu
Wiatru, co powiał, Bóg wie skąd, że lada-ć,
Pyłek na drodze, lotny i bez treści,
Cały los jego w swojem łonie mieści,

LI.

Na śmierć był skazan... Szafot już gotowy
Piął się ku niebu, ze skazańca sznurem
Kroczył ku niemu, nie podnosząc głowy,
Albowiem stał się apatyi marmurem...
A oto jemu, co rzucał wężowy
Jad na kobietę w zuchwalstwie ponurem,
Szaman — przypadek w ostatniej godzinie
Świętą w kobiecie przywiódł wybawczynię.

LII.

A była żywą inkarnacyą Ciszy,
Co w jeden środek skupia władze ducha;
Uosobieniem Miłości, co słyszy
Jęk najtajniejszy w wnętrzach ludzi; głucha
Na rozszalały prąd świata, haszyszy
Jego nie żądna; cnej Pokory druha,
Wylaniem serca była, Poświęceniem
I dni, co idą, jasnem Zrozumieniem...

LIII.

Nie wiedząc wcale, w którą stronę zdąża
Niby automat, nakręcony ręką
Losu, co ludzkie jestestwa okrąża,
Stając się dla nich radością lub męką,
Co im zdejmuje juki lub obciąża
Większym ciężarem, biegła nie z piosenką
K'niemu, lecz z smutkiem, nie po ziół kobiercu,
Lecz po krzemieniach, z tragedyą w sercu.

LIV.

Duch jej, jak jego, spragniony oparcia,
Sfer szukający swym sferom pokrewnych,
Był jak w przetworach luźny dźwięk, zamarcia
Blizki i wtedy dopiero wśród śpiewnych
Rozbrzmiewający melodyj, gdy z starcia
Bytów niebieskich, blaskami ulewnych —
Z źródła wspólnego — drugi dźwięk zrodzony
Z nim się połączył wśród gwiaździstej stony.

LV.

O Ellenai! Ellenai! ten drugi
Byt, co przez ciebie uniknął szafotu
I znowu wzniósł się na świetlane smugi,
By tam słonego nie oszczędzał potu
Dla wielkiej myśli, aby tam, gdzie pługi
Skrzętnych oraczy, mimo klątw, chichotu,
Prą w twardej glebie, nie był z nich ostatni,
Tak cię, jak pająk, nie puścił z swej matni.

LVII.

O Ellenai! uczuł on, że w wielkiej
Duchów wędrówce, ongi, przed wiekami,
Nim pył w chaosie ziemią, a kropelki
Nikłe morskiemi stały się falami,
Duch dobra, dan mu z woli Rodzicielki,
Z rąk Praharmonii, władnącej bytami,
Lwią część swą zgubił, aby żyć, jak w grobie,
Pokąd jej dzisiaj nie odnalazł — w tobie!...

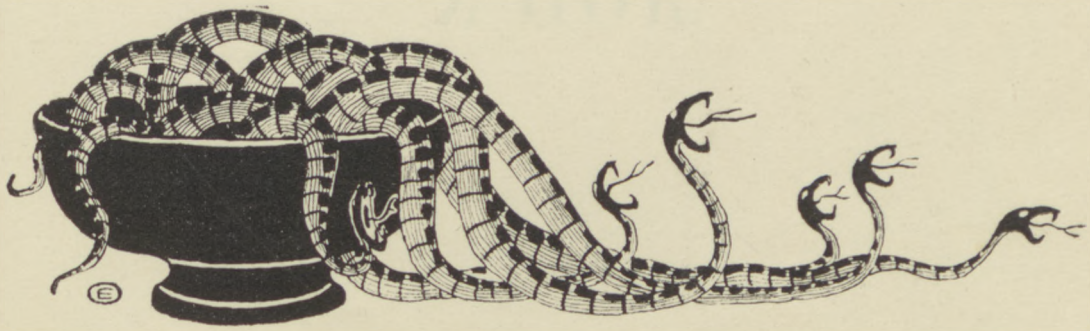

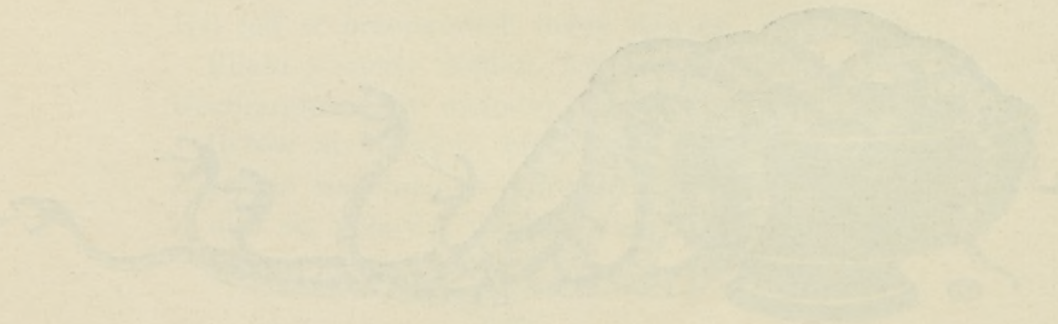

Z GÓR.

O PORANKU.

Rozwiały się twoje włosy
Złote włosy twoje,
Jak jutrznianne
Blaski ranne
Tak ci się rozwiały...

Jak ta zorza,
Kiedy hoża
Wzejdzie na niebiosy,
By po łąkach i po lasach
Rozbudzić hejnały,
By rozdźwięczyć jasne zdroje
W pieśni tajemnicze,
Które słyszą tylko dusze
Z pośród dusz wybrane,
Tak dziewicze

Twe oblicze,
W młodości skąpane,
Przyoblekło się w purpurę
I ponure
Moje wnętrze,
Zatopione w twoich krasach,
Co od dni letnich zdają się gorętsze,
Rozjaśniwszy radości promieniem,
Nastroiło je w weselny
Hymn...

Śmiertelny,
W nieszczęśliwych tłumie
Wychowany człowiek,
Kroczący przez głuszę
Ciemnego żywota
I nie wierzący, by dla jego powiek,
Przywykłych tylko do nocy,
Mogło zabłysnąć słońce
W swej wielkiej mocy,
Albo jutrznia złota
W swym słodkim wdzięku,
Czyż umie
Przyjąć bez lęku
To, co jest przeczeniem
Dotychczasowego bytu?

Czyliż to szczęście, co płynie
Z twojej postaci,
Do wcielonego podobnej zachwytu,
Nie jest tą hojną wieczerzą,
Skąpaną w winie
I w wyszukane owoce bogatą,
Którą straceńcom w godzinie,
Nim sprawiedliwość wymierzą,
Podają prawa obrońce,
Litościwi kaci,
By koniec jeszcze był krwawszy?

Czyż się promienną szatą
Ten straszny odział kościotrup, nabrawszy
Świeżego ciała,
Aby omamić — wbrew fantazji mniszej —
Że wypoczynek śród jego uścisków,
Nie jest rozkładem, lecz życiem
W roskosznej ciszy,
Na ciepłem łonie
Którejś z niebianek?

Z złocistych błysków
Włos ten uwity, co-ć okala skronie,
Twarz, co się ku mnie podała,
Kwitnąca kwieciem
Jedwabnych róż,

Nie jest-li jedną z złud, które przedemną
Wymarzył ondyn kochanek,
Shelley, niebiański poeta,
By wnet w pościgu za niemi,
Mogiłę znaleść ciemną
Śród głębin mórz?

Twoje włosy się rozwiały — ja dłońmi drżącemi
Sięgam po nie: rzeczywistość, a nie snów podnieta!
Sięgam po nie i do wargi półotwartej tulę
I nie pytam już, co będzie! pieszczę i całuję
Twoje złote, jasne włosy,
Co się tak rozwiały,
Jak jutrznianne
Blaski ranne,
Kiedy świt wspaniały,
Operlony mgłami rosy,
Promienistą tkankę snuje
Dla ziemi zbudzonej,
Dla szczęśliwej, świeżej ziemi
Poślubną koszulę...

Zrumieniły się twe lica,
Twoje lica mleczne
Śród korony
Złotych włosów tak się zrumieniły,

Jak ta zorza,
Kiedy hoża,
W pełni rajskiej siły
Na niebiesiech zajaśnieje
I rozleje
Czar na kwiaty, drzewa,
Na jezioro, które śpiewa
Głosem stujęzyczym
Melodje odwieczne
I do fali
Smugi z dali
Przyciąga olbrzymie,
Błękitów kobierce,
Szafirowe,
W promienistość
Przystrojone nieba...

Szczęścia błyskawica
Przeniknęła elektrycznym
Prądem moje serce.
Usta szepcą twoje imię —
Wznoszę głowę, nie jak ślepiec, co się drogi boji,
Lecz pewnego świadom celu,
I w weselu
Rozpieśnionej duszy mojej,
Której nic nie trzeba,
Obejmuję cię w ramiona!
Obejmuję w ramion kleszcze,
Aż mi serce kona,

Twoją postać wiotką!
Obejmuję
I całuję
Jak ta zorza,
Kiedy hoża
Wzejdzie na niebiosy
I światu przyświeca
Jeszcze, jeszcze i wciąż jeszcze
Tulę, pieszczę
Twoją wargę słodką!
Tulę, pieszczę i całuję twoje jasne włosy,
Co naokół białej skroni tak ci się rozwiały
Jak jutrznianne
Blaski ranne,
Jak ten świt wspaniały!...

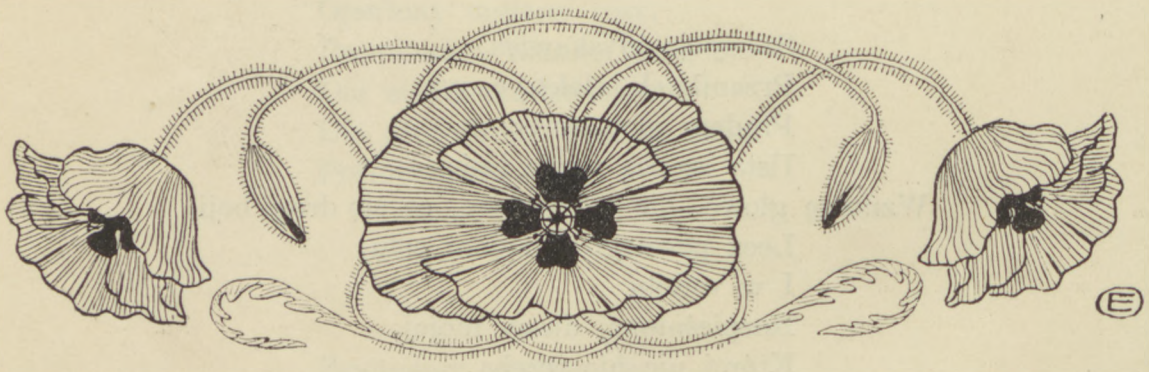

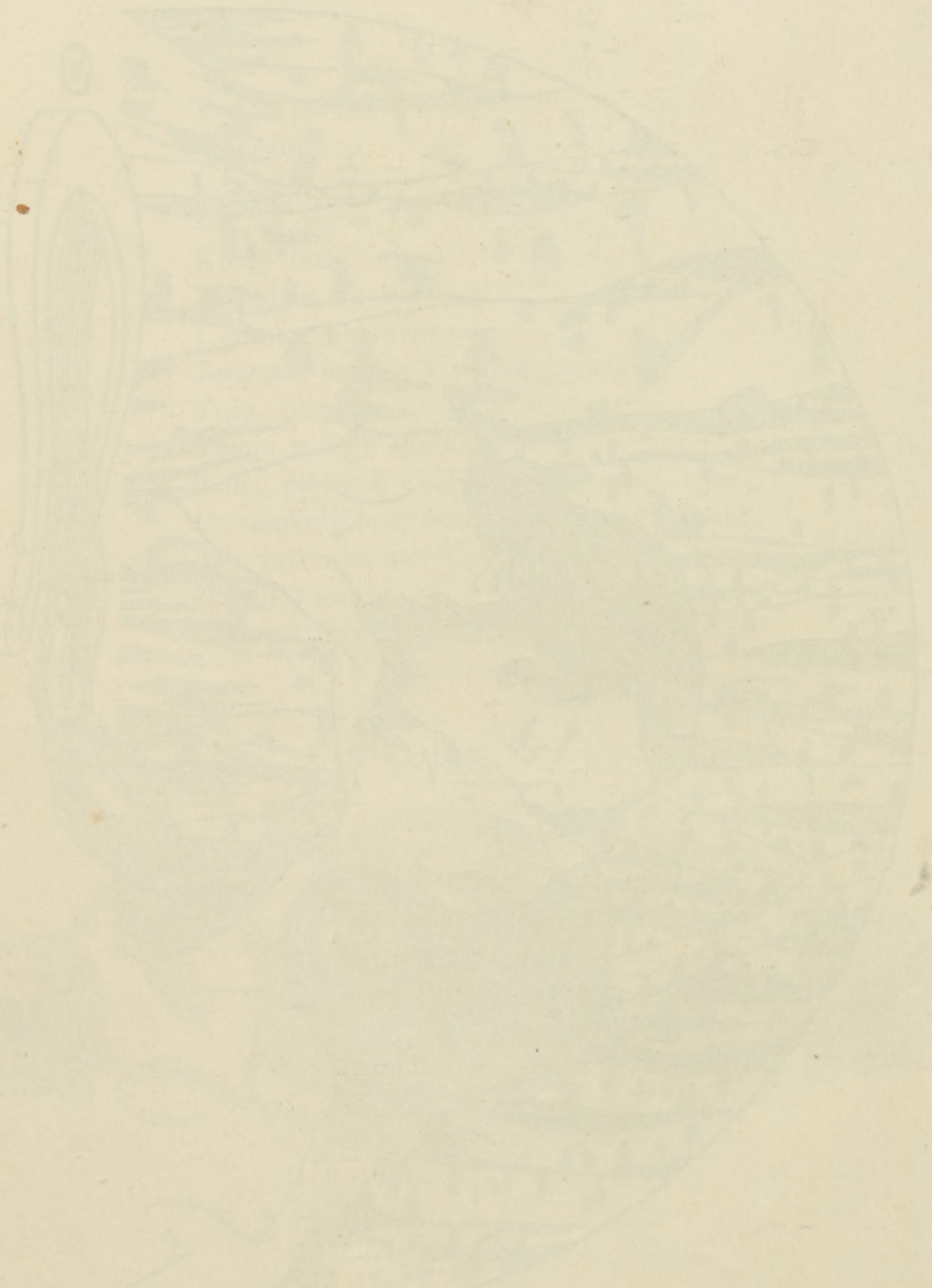

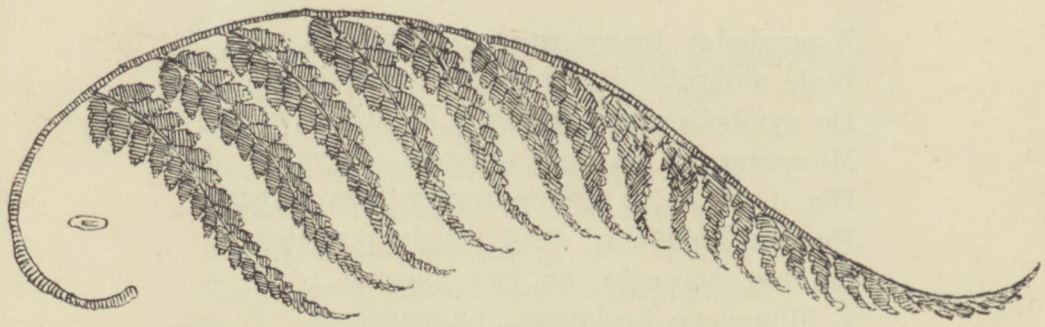

PRZY SZUMIE DRZEW.

W wielkiej świątyni Przyrody, pod niebios
Jasnem sklepieniem, w zielonym
Lesie, wyrosłym na łagodnem wzgórzu,
Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby...

Czerwone słońce, wtargnąwszy przez gęstą
Tkaninę liści do głębiny boru,
Kładło się swojem promienistem ciałem
Na świeżą trawą okrytej polanie,
Albo ukradkiem całowało kłody
Omszałych buków i klonów... Kropelki
Srebrzystej rosy, snać jeszcze od rana,
Lśniły się w miejscach, gdzie wieczyste, widać,
Panują cienie — na pochyłych stokach
Dołów, tonących w paprociach, śród starych
Pniów, z wilgotnego ulepionych próchna.

Z pomiędzy trawy wychylały główki
Białe stokrotki i niebieskie dzwonki,
Do symbolicznych podobne kielichów,
Mieszczących na dnie tajemne słodycze
Dla dusz, co, z ziemią rozerwawszy węzeł,
Pną się ku niebu, skąd wzięły początek.
Smukłe storczyki, by jacy rycerze
Z lilipuciego królestwa, na państwo
Ziół zmienionego, wznosiły do góry
Dumne szyszaki, błękitnemi barwy
Pomalowane, a gminny biedrzeniec,
Czujący swoją przewagę, w pobliskich
Skryty zaroślach, urągał ich pysze.
Obok ścieżynki, wiodącej do serca
Starego lasu, złociły się mlecze
Krągiem szerokim, a spór z niemi wiodły
O atom miejsca jaskry i srebrniki,
Przytulające aksamitne piersi
Do ciepłej ziemi. Z pośród wonnej trawy
I mchów jedwabnych poziomka wstydliwą
Skroń wychylała, lub dziewiczo piękna,
Okiem brutalnych przechodniów zapewne
Niedostrzeżona, z swych siostrzyc ostatnia,
Widać, konwalja, a od skraju lasu
Słały swój zapach krzaki tomentozy.

Na mchach siedliśmy, milczący oboje,
Ona, na łono opuściwszy ręce,
Kwiat jakiś w palcach trzymała, zrywając
Z białej korony listek po listeczku.

Jak szczypty pierza miękkiego, lub śniegu
Maleńkie płatki, wionęły pod moje
Stopy te życia złamanego szczątki.
Powieki miała spuszczone. Od czasu
Tylko do czasu, kiedy nad głowami
Natrętna osa, wyrwaszy się z gniazda,
Skrytego w ziemi, krążyć rozpoczęła,
Brzęcząc jak echo rozbitego dzwonka,
Podniosła w górę źrenicę, podobną
Do niezabudki, na której pozostał
Ślad mgły porannej albo ślad kropelki
Dżdżu wiosennego. Wtedy mimo Woli,
A może z wolą wewnętrznego pędu,
Uwięzionego gdzieś w najgłębszej toni
Dziewiczej duszy, by koral w przepaściach
Oceanowych, wzrok jej błyskawicznie
Spotkał się z mojem spojrzeniem i naraz
Żywy rumieniec, jakby wstyd ją było
Myśli tajemnej, zakwitnął na twarzy,
Opadłej znowu na piersi. I ręce
Poczęły znowu obrywać listeczki
Z ziół, rozrzuconych na łonie... Z wstydliwej,
Słodkiej bezwładzy wyrywał na chwilę
Schyloną postać nagły chrzęst w konarach
Bliskiego drzewa, na które brunatna,
Zwinna skoczyła wiewiórka, lub szelest
Przemykającej łasiczki, lub jaszczur,
Gdy się po trawie u jej stóp przewinął.
Czasem na dłoń jej upadła biedronka,
Lub wpełznął owad zielonawo-złoty,
Zrodzony w trawie, wychowany w słońcu.
„Boisz się?“ szepnę. Drgnęła, a jej oko

Jeszcze się głębiej pod rzęsy schowało,
Pod długie, gęste, pod te ciemne rzęsy,
Pokrywające tajemnice duszy,
Niby zasłona, co ongi, przez wieki,
Skrywała w Sais święty obraz bóstwa.

Onieśmielony byłem jej milczeniem.
A przecież w ślad jej spieszyłem, by oto,
Zdala od zgiełku i od targów świata,
Rzec jej w tej ciszy uroczego lasu,
Że choć na życia przypadkowych drogach
Spotkaliśmy się, jak się spotykają
Przez wiatr odcięte z różnych pniów gałęzie,
Mamy w swem wnętrzu coś, co już na wieki
Złączyć nas winno. Lecz znowu, jak nieraz,
Onieśmielony byłem jej milczeniem.
I wątpliwości, jak rój młodych węży,
Które podnoszą nad krawędzie gniazda
Swe drobne głowy, powstawały we mnie:
Czy znam jej wnętrze i czy jest w niem kącik,
Który na wyraz czarodziejski „kocham“
Wyrośnie dla mnie w świątynię, jak owe
Z ludowej baśni kościoły, co w pewnych
Chwilach umieją zmienić się z maleńkiej,
Prostej kaplicy w wspaniałe katedry
O strzelających ku niebiosom wieżach,
O dachach, złotem pokrytych, o nawach,
Przepełnych ducha bożego!... Nie pierwszy
Raz to pragnąłem wyrzucić z głębiny
Duszy ten kamień, co legł mi ciężarem

Na dniu dzisiejszym i na snach Przyszłości,
Na wymarzonych wszystkich jej nadziejach.
Nie po raz pierwszy chciałem dłoń jej schwycić
I, przycisnąwszy ją do ust, zapytać
Jej oczu jasnych i jej warg rumianych,
Czy mają dla mnie odpowiedź, mogącą
W ciemne krużganki mojego żywota
Wlać strugę światła. O, nie raz jedyny
Byłem już bliski tej chwili, by, ręce
Mając na piersiach i z grzbietem skulonym,
Jak przebaczenia i świętej pociechy
Żądliwy grzesznik, jednym tchem jej wyznać,
Jaki huragan szalał pośród drogi,
Którą dotychczas kroczyłem! Jak w oczy
Sypał mi kurzu tumany, że rychło
Źrenica moja straciła wrażliwość
Na wielki urok promieni słonecznych
I że jej było najlepiej śród nocy!
Jak owa burza, wszczęta przez złe duchy,
Które w mem własnem zamieszkały wnętrzu,
Nietoperzowe roztaczała skrzydła
I niby pyłek na bagna mnie niosła
I jak z rosnących tamże jadowitych
Cykut straszliwy-m wyciskał eliksir,
Aby nim zatruć niejedną niewinną
Duszę! Nie pierwszy był to raz, żem pragnął
Do stóp jej upaść i, podniósłszy głowę
Ku jej źrenicom, zawołać: „Ty władzę
Posiadasz w sobie, daną ci przez siły,
Zmysłom człowieka nieznane, lecz w skutkach
Błogosławionych widoczne, że możesz
Już nie wyrazem, lecz ruchem, spojrzeniem,

Jak czarodziejskiem zaklęciem, z grzesznika
Twardej powłoki, by z ciemnej jaskini,
Nowego ducha wydobyć, światłością
Wszystkich strzelistych cnót promieniącego!
To, co wnim było dawniej potępieniem,
Przez ciebie będzie zbawiającą łaską!
Betezdą jesteś“ — tak nieraz myślałem
Zwrócić się ku niej — „tą ewangeliczną

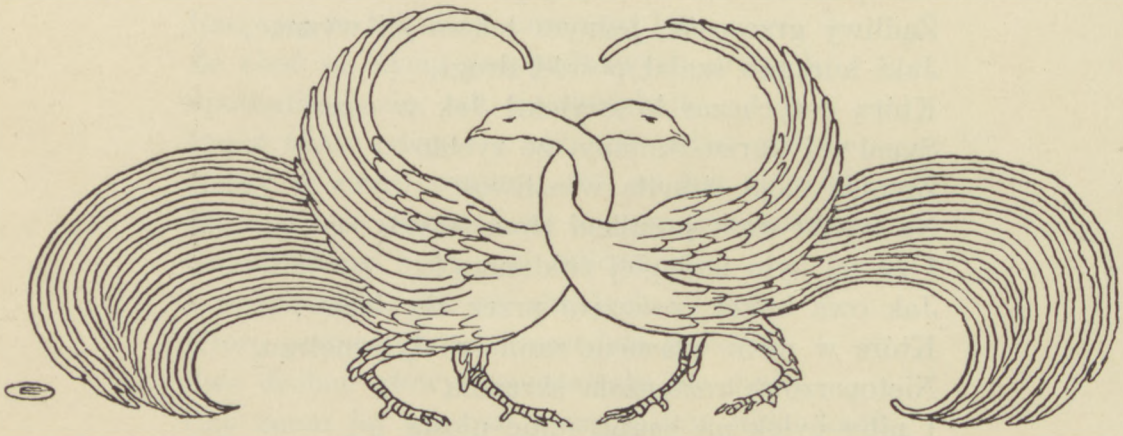

Sadzawką jesteś, której święte zdroje
Trąd obmywały z nieczystych! Czem wszystkie
Przewiny chmurnej przeszłości, gdy dzisiaj
Zabłyśnie nad nią siedmiobarwna tęcza,
Uwita z błysków twojej czystej duszy!“
To znów, gdym spojrzał w jej błękitne oczy,
Do lustrzanego jeziora podobne,
W którem odbija się głębia i ogrom

Niezmierzonego horyzontu niebios,
Kiedy przedemną lekki wietrzyk rozwiał
Jej włos jedwabny, igrający w słońcu
Połyskiem złota; gdym patrzał na kibić,
Smukłą, jak młoda brzezina; gdy wzrok mój
Spoczął na szyji łabędziej, białością
Odurzającej lub na krągłych piersiach,
Kształt swój zaczący dwiema światła plamy
Na ciemnej sukni; gdym spojrzał na drobną
Stopę, przypadkiem lekko wysuniętą:
Krew we mnie wrzała! Sardanapalowej
Uczty płomienne migały obrazy!
Jak gibką gałąź giąć ją w swych uściskach!
Pokryć jej postać tysiącem całunków,
Ażby jej krwawe wystąpiły smugi,
Ażby omdlała w pieszczotach! Zapachem
Świeżego ciała wabion z legowiska,
Jak noc ciemnego dziki zwierz się skradał,
Aby się rzucić na słabszą ofiarę,
Szczękającymi od chciwości kłami
Przegryźć jej gardło, wypić płyn gorący
Z tych żył sinawych, co zdradliwą siatką
Pokryły skórę alabastrem lśniącą,
Potem, pijany rozkoszą, zatoczyć
Kręgi śmiertelne i zginąć na zawsze
Gdzieś w niewidzialnej przepaści...
Lecz rychło!
Wstyd jakiś straszny pożerał me lice,
Czerwieniąc nawet powieki. Pochylon
Stawałem przy niej, jak ów pies obity,
A wierny panu swojemu! Nie mogłem
Opędzić myśli, która, jak złowieszczy

Ptak, mego serca dotykała skrzydłem
Piekielnie czarnem, szeleszcząc, że ona
Łagodnym wzrokiem wniknęła w najskrytszą
Toń mego wnętrza, spostrzegła w niem — zbrodnię
I za tę zbrodnię czuje bezgraniczną,
Bezdenną litość!... I już nie marzyłem,
Aby jej ręką zapukać do wrótni
Utraconego Edenu, lecz, chłodnym
Przejęty dreszczem, pragnący „po życiu,
Przepychem błędów i męczarń wypocząć
W zimnej mogile", chciałem jej wyrazić
Owo życzenie pieśniarza, ażeby
Nie jak kochanka, oddana mi ongi
Ciałem i duszą, lecz „jak gołębica,
Jak wielki anioł miłosierdzia, przyszła
Na grób, usypan z ciążkiej, twardej ziemi,
I kilka świeżych rzuciła nań kwiatów".

Na mchach milczący siedzieliśmy razem...
Od brzegów lasu, przez wyrąb szeroki,
Od pól rozległych, falujących świeżo
Wykłoszonemi zbożami, skąpanych
W aromatycznej kąpieli rzepików,
Osianych puchem złocistym, przypłynął
Wiatr zleniwiały ku naszej polanie.
I naprzód cicho ruszyły się trawy;
Storczyki, wnet się zbudziwszy z zadumy,
Chwiały hełmami; gięła się konwalja
I liść poziomki mchy rozpoczął głaskać;
Biedrzeniec skronie ocierał o twarde

Gałęzie dzikiej krzewiny: paprocie
Strząsnęły resztki brylantowej rosy:
Jaskier swe lica odwracał od słońca,
Giął je do kolan, to je znów podnosił,
Jak zadąsany, nawet mlecz i srebrnik
I gwiazdkowata stokroć, choć się zdają
Niby przypięte z łodyżką i liściem
I razem z kwieciem do ziemi, zadrgnęły,
I krzaki głogów, wyrosłe na miedzy,
Która oddziela bór od plennej niwy,
Jęły tu owdzie rozrzucać przestałe,
Bladoróżowe płatki z swej korony.
Powoli wiew się przedarł ku wierzchołkom
I jedno drzewo zaczęło drugiemu
Podawać dziwne akordy prastarej,
Utraconego Raju tajemniczem echem
Będącej pieśni, ze słów ułożonej,
Co pozostały z języka praświata,
Ludziom dzisiejszym nieuchwytne dźwięki,
Lecz zrozumiałe dla duszy poety...
Szum wszczął się w klonie, w którego okolu
Spoczywaliśmy: zaszeleścił starzec
I urwał naraz, jakgdyby w fałszywą
Uderzył strunę, potem znów potrącił
W lutnię runiczną i głosem stłumionym
Jął wyśpiewywać przedwieczne rapsody...
Ton pochwyciła lipa, naśladując
Pomruki górskich potoków, a za nią
W trop pospieszyli inni towarzysze,
Od wieków jednem ogrzewani światłem
I jedne burze znoszący: jawory,
Buki i graby, a nawet gromada

Zbłąkanych świerków, które oblepiły
Pasożytnicze, niby pleśń, jestestwa.
Patrząc na klony i na graby stare,
Na rozłożyste jawory i buki,
Na lipę wonną i na świerki siwe,
Mógłeś z początku odróżnić dokładnie,
Które z nich szumią, a które szeleszczą,
Które z nich szemrzą, lub szepcą, lub mruczą.
Ze zamkniętemi wsłuchany oczyma
W te różnorodne akordy, sądziłbyś,
Że gdzieś tam w sferach, do których w niezwykłych
Snach ulatuje uwięziony w glinie
Ziemskiego bytu, lecz na chwilę z więzów
Wyswobodzony duch ludzki, narzędzia
Stroją muzyczne jacyś mistrze tonów,
Śród gwiazd zrodzeni, i że na ten padół
Przypełzły echa ich dźwięków. Niebawem
Ten szum i szelest, szmer i szept i pomruk
Zlał się w harmonji przepełną melodyę,
Głucho płynącą nad naszemi głowy,
Jakby tam w górze daleko, daleko,
Olbrzymie morze toczyło powoli
Ciężkie swe fale...

Milczący oboje
Spoczywaliśmy pośród mchów... Las szumiał
A szumy jego wnikały powoli
W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom
Zdawał się zmieniać w miljonową cząstkę
Jakiejś symfonji i zlewać się razem

Z szumem, z szelestem, z pomrukiem i szeptem
Drzew, konarami chwiejących nademną.
I tajemnicze przejęły mię dreszcze...
I wnet uczułem, że szumiące drzewa
Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.
I zdało mi się, że powoli tracę,
Jednę za drugą, cechy człowieczeństwa...
Chciałem się bronić... naprożno! Od władz tych,
Które się gnieżdżą w mózgu — nie! w ramionach,
We wyprężonych do oporu piersiach,
Była silniejszą potęga, idąca
Z onych wierzchołków i całą mą postać
Ogarniająca swą dziwną muzyką,
Słodką, a straszną... Doznałem wrażenia,
Żem się przedzierżgnął w jeden z tych jaworów,
Buków czy klonów lub świerków, a potem,
Że ci liściami naodziani boru
Tego mieszkańce zrośli się w olbrzymie
Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą
Uwięź cielesną, która już nie gniotła,
I mą prawdziwą stali się istotą.
Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak długo
Trwał stan niezwykły — być może sekundę
Według obliczeń chłodnego rozumu:
Mnie się zdawało, że bezmiar wieczności
Wypełniam swymi konary... Powoli
Ludzkiego bytu wracała świadomość;
Powoli-m zaczął uczuwać ten ciężar
Znikomej gliny, z której ulepiono
Ten grzbiet, te stopy, te nasze ramiona...
Powolim zaczął ludzkiemi oczyma
Rozróżniać klony i buki i świerki,

Lecz duch, wykąpan przed chwilą w przedwiecznych
Falach, nie umiał otrząsnąć od razu
Wszystkich kropelek, co na jego skrzydłach
Zostały z owej kąpieli, tajemnie
Lśniąc się blaskami nieznanych dziś pereł...
W jakiś się dziwny jęły amalgamat
Zlewać dwa stany: dawna, dawna przeszłość
I teraźniejszość... Obrazy przedemną,
Bytem, odzianym ciężką, ludzką gliną,
Zaczęły wstawać z niedzisiejszej doby,
A jednak w żywem do niej podobieństwie,
Jakby nie było między tem, co przeszło,
A tem, co dziś jest, najmniejszej różnicy.
Zdawało mi się, że ja to przed wieki
Z liści bukowych uplotłem odzienie,
Ażeby nakryć swą nagość występną,
I że mnie wygnał płomienistym mieczem
Boży archanioł za bramy Ogrodu,
I że w tym szumie ściga mnie wspomnienie
Pobytu w raju... I wszystkie męczarnie,
I wszystkie trudy, jakie przebył Adam,
Syn ziemi, walcząc z dzikimi potwory,
Które mu twardą tamowały drogę,
Gdy ku wschodowi podążał, ku słońcu,
Dawcy światłości, ciepła i owoców —
Wszystkie te jego ciężary mnie gniotły...
Oślizłe węże, co z sykiem owijać
Nie przestawały swem cielskiem mych kolan
I moich piersi i szyji wygiętej,
Wilgnemi żądły aż do warg sięgając,
Zdzierałem ręką, drżącą od zmęczenia.
I na mej dłoni uczułem pęcherze

Od wyrywania chwastów i korzeni
I od łamania konarów, by sobie
Przez niedostępną gęstwinę, okrytą
Czarnymi zmroki, utorować wyjście
Na łan świetlany. I ze skroni bladej
Jąłem ocierać zimny pot, co spływał
Hojnym strumieniem, kiedym ja, praczłowiek,
Adam, syn ziemi, rozbijał rydlicą
Grudy kamienne, albo orał pługiem
Twarde opoki, aby z nich wydobyć
Czarny kęs chleba...

I potem mi było,
Jakbym Kaina piętno miał na czole,
Bo bez spokoju dążę i spoczynku,
Sam nie wiem, dokąd — może, aby zabić
Wspomnienie zbrodni, której nie spełniłem,
A którą przecież — tak mi się zdawało —
Umiałbym spełnić, czy też, aby znaleźć
Nieznane szczęście w ziemi Nod, na wschodzie
Od wrót edeńskich... I jąłem wyrzucać
Złowrogim losom, że mi snać zabrały
Prawo do niego — do owego szczęścia,
Które powinno być udziałem człeka,
Jeżeli może być udziałem kwiatu —
Tego biedrzeńca, co z zarośli szydzi
Z mojego losu, tych niebieskich dzwonków,
Na dnie kielicha swojego kryjących
Miód dla — owadu, i tych mleczów złotych

I tych nieznacznych srebrników,
I tych stokrótek i tej róży dzikiej,
Co mnie odurza swą wonią...

Las szumiał,
A ponad jego wierzchołkami słońce,
Dosięgłszy swego zenitu, rozlało
Nagle złocistych blasków całe morze,
Dźwięczące razem ze szumiącym lasem.
Rozgrana jasność, spływając z jaworów,
Buków i klonów, owionęła duszę
Ciepłem promiennej melodji, rozkosznej,
Pobudzającej do jakiegoś życia,
Pełnego żaru i wielkiej radości.
Uczułem naraz, że te krwawe bole,
Co przed minutą gryzły tak straszliwie
Me grzeszne wnętrze, stały się już mitem,
I że nie byłem wygnańcem z Edenu,
Ale dopiero w tej chwili, oczyszczon
Z wszystkich przewinień burzliwej przeszłości
Jakąś nieznaną mi siłą, a jednak
Jakgdyby znaną od dawna, stanąłem
U bramy Raju, który żył dotychczas
Jedynie w moich snach i pożądaniach.
Doznałem naraz uczucia, jak człowiek,
Gdy się pobożnie zbliża do ołtarza,
Na którym Pański mieści się sakrament,
Skryty w misternym tabernaklu. Wokół
Jakiejś świętości drżała atmosfera.

I ducha mego pochwyciła naraz
Wielka tęsknota, ażeby na barkach,
Jak legendowy Oferus, świat jakiś
Przenieść przez morze nieznanych przestrzeni.
I tak, jak człowiek nagle przebudzony,
Ku niej, siedzącej na mchów aksamitnych
Miękkiej pościeli, zwróciłem swe oczy:
Ucieleśnieniem wieszczego natchnienia
Wydała mi się, wsłuchana w ten poszum
Starego boru. Naokoło głowy,
Wzniesionej w górę, lekki wiew przewiewał,
Igrając włosem, rozwianym by sypkie
Włókna drogiego jedwabiu, błyszczącym
W promieniach słońca połyskami złota
Rozpylonego. W wilgotnym błękicie
Rozwartych źrenic, a wlepionych we mnie,
Jak oczy łani, lśnił łagodny ogień
Elektrycznego światłością płomienia,
Uwięzionego gdzieś na dnie głębokiej,
Niebieskiej, czystej, jako kryształ, wody.
Twarz jej oblewał rumieniec, a usta
Nawpół otwarte, oprawione w koral,
Drżały, by lekko wywinięte płatki
W koronie róży czerwonej. Zaiste!
W takiej postaci zjawiał mi się nieraz
W snach moich anioł przebaczeń, zawstydzon,
Że jemu przyszło spełniać miłosierdzie
Nad grzeszną duszą, którą on ukochał,
Jak równą sobie... We mgle moich marzeń
Taką stawała przedemną jutrzniana
Miłość, co. chociaż krew zapala w żyłach
I ciało nęci niezwykłą rozkoszą,

Przecież na takie prowadzi wyżyny,
Gdzie duch nasz z wszystkich otrząsa się strzępów,
Z których mu ziemia szyje brudną suknię,
I, jak pokryty wiecznemi śniegami
Wierzchołek góry olbrzymiej, w swej białej,
W swej nieśmiertelnej świeci się nagości,
Czysty, a piękny!... Rytmicznie wzrastało
I opadało jej łono; snać w serca
Swiętym przybytku brzmiał organ uczucia,
Nastrojon szumem i szelestem lasu
W jakiś hymn wielki, rozeprzeć pragnący
Nawę kościoła... Z głębokiem spojrzeniem,
Pełen wylania i jakiejś słodyczy
Niewysłowionej i jakiegoś ognia,
Zwrócona ku mnie, chciała coś przemówić.
Lecz zanim słowo zdołało wypłynąć
Przez wargi świeże, wpół ją pochwyciwszy —
Nagle, jak człowiek, porwany zachwytem,
I przycisnąwszy do piersi, złożyłem
Na tych rozkwitłych, na płonących wargach
Pierwszy całunek — ten symbol wiecznego
Dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach
Rozstrzygający człowieczych, potężny,
Utraconego przed wiekami Raju
Słoneczne bramy wskroś otwierający
Symbol...
Klęczałem u jej stóp, na białych
Płatkach, wyrwanych z wiosennej korony
Jakiegoś kwiatu wiotkiego... Jej ręce,
Jak bluszcz, oplotły drżące moją szyję,
Usta szeptały rozgrzeszeń wyrazy,

A z jej rozwartych, jasnych ócz spłynęły
Dwie duże krople, by perły, na lica
Zarumienione...

Powoli, powoli
Rozkołysany las się uspokajał:
Powoli milkła jego pieśń przedwieczna,
Niezrozumiała dla ludzi dzisiejszych,
Ale uchwytna dla duszy poety.
Przebrzmiał już akord ostatni... Wstaliśmy
I śród storczyków i dzwonków i mleczów,
Pośród stokrotek, jaskrów i srebrników
Obok róż dzikich, od których szczęśliwym
Uczuł się duch mój, dotychczas nękany,
Oferusową dziś przejęty żądzą,
Powracaliśmy, weseli, złączeni,
Błogosławiący tej symfonji boru.

W TURNIACH.

I.

Pierzchnął już zmrok...
Z pod krawędzi ziemi
Wytrysły już
Płomienne skry
Porannych zórz.
I mgły
Płachtami się kładą białemi
Po reglach, po zielonych,
Lub się zwieszają, jak przędze pajęcze,
Z stoku na stok;
Lub, jak olbrzymie, tajemnicze ptaki,
Rwą się na skrzydłach srebrzonych
W powietrzne szlaki,
Lub, opadając, jak wał,
O strome poręcze
Sinawych skał
Rozwiewają wilgotne swe puchy.

O wstań! O wstań!
Ma dusza, rozśpiewana
Pieśnią tęsknoty,
W ten głuchy,
A jednak żywy
Pędzi mnie świat!
Zwraca swe loty,
Gdzie każda ciemna grań,
Gdzie każda jasna polana
Opowiada dziwy
Niewysłowione
I niepojęte
Z przedwiecznych lat.

Za chwilę blasków koronę
Wychyli słońce z za gór;
Z blasków poczęte
Jak się słaniają błękity,
Bez plam,
Bez chmur,
Ponad ostrymi szczyty!
O chodź! o chodź: przez mgły
I ja i ty
I dusza ma —
Mój dobry geniusz z drżącą lutnią w ręku,
Pójdziemy tam,
Gdzie światłość gra
Swą promienistą pieśń
Śród nieodstępnych turni!
Pójdziem, gdzie grożą wieczystymi zmroki

Żleby bezdenne,
Niesłyszalnego jakby pełne jęku,
Odziane w czasów pleśń —
Tych dawnych, dawnych, dawnych dni,
Których bezmiaru myśli nie ogarną,
Lecące choćby najgórniej,
Ani marzenia senne,
Choć swą przedziwną mocą
Przeniknąć umieją
Głęboki
Tajemnic żleb.

Świerkowy bór
Swą piersią czarną,
Na której zorze się złocą,
Perłami rosa lśni,
Oddycha:
Lekkie powiewy wieją —
I płynie, płynie, płynie,
Jak fala, cicha
Z powodu głębi swej,
Przedziwny chór!
Aż pod niebieski skłep
Wypełnia przestwór cały
Przeszywający mnie do szpiku kości
Odwiecznych dum
Miarowy, pełny i rozciągły ton...
O haj! o haj!
Tam ninie
Snać się siklawy rozlały

W szum!
Nie widzę ich srebrzystych wstęg,
Ale je słyszę — to one,
Lecąc ze szczytów,
O trzon
Granitów,
O skalnych łon
Rozsiadłe brzemię biją, rozpienione,
Dzwonią, jak dzwon,
I grzmią, jak grzmot,
Walą, jak straszny eonów młot.
Do bram nieskończoności,
Do tych tajemnych wrót,
Poza któremi gości
Przestrach i lęk
I uwielbienie i skrucha
I osłupiały dziw
I, serce w pył miażdżąca,
Pokora...

O słuchaj! słuchaj! w jaką strunę trąca
Tęsknota mego ducha,
Jaki cię budzi zew:
Tam! do tych niw,
Które Praoracz w skiby niebosięgłe
Pokrajał ongi, przed wieków wiekami,
I posiew grozy w nie rzucił
I, gdy ta w zboże-potwora
Wyrosła, w kamień obrócił
(Ale nie martwy, lecz żyw)

I łan i siew,
Że dziś nad nami
Zieją, jak węże olbrzymie, wylęgłe
W łonie prabytu, obrócone w głazy
(Ale nie martwe, lecz żywe,
Choć nieruchome) — tam
Niechaj nas kroki wiodą niecierpliwe!
W te tajemnicze,
Rajskie, a straszne dzicze
Podążyć nam
Na białych skrzydłach ekstazy!
U bram
Nieskończoności, śród groz,
Pośród przestrachu i lęku,
Od których jeży się włos,
Oko zachodzi mgłami —
Nad przepaściami,
Z ręką w ręku,
Wpatrzonym w śmierci oblicze,
Zadawać śmierci kłam,
Z rąk życia rozkosz pić
I żyć i żyć i żyć!...

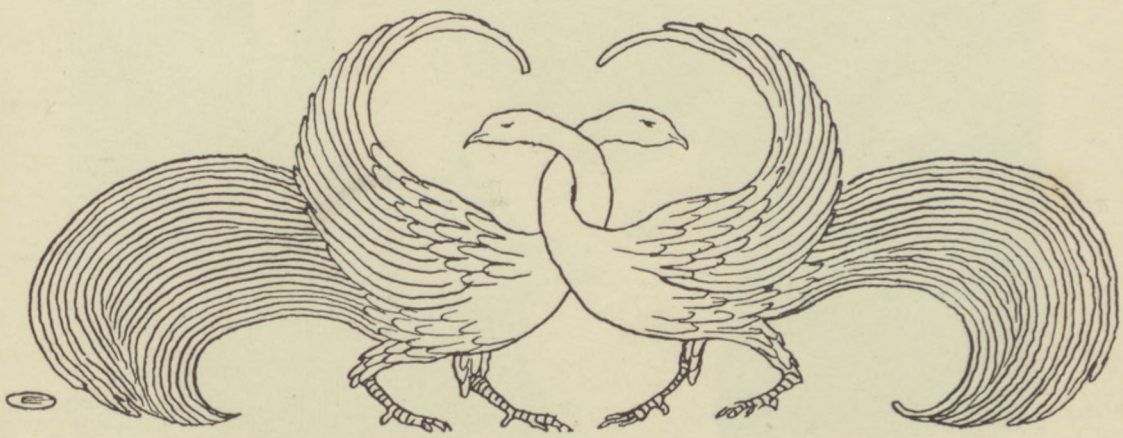

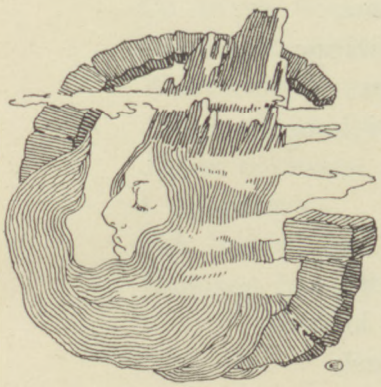

raj, moja duszo, graj,
Pierwotne hymny nuć
W takt pieśni runicznych, co płyną
Z tych groźnych skał!
Ponad uroczy maj,
Wodzący kwiatów młódź
Wonną doliną,
Milszy ten biały śnieg,
Co się na szczytach zwiał
Lawiną
I, leżąc wieków wiek,
Przepaści straszny grób
Przywalił płytą lodową.
Graj, moja duszo, graj,
Pierwotne hymny nuć
W takt pieśni, co z puszczy dziewiczej
Do naszych wije się stóp,
Nad naszą wznosi się głową,
Jak ciężka kraje łódź

Powietrza tysiąc staj
I pośród urwisk łona,
Śród niedostępnej dziczy,
Tłumiąc powoli głos,
Głuchnie, zamilka i kona.

Złocisty splotła włos,
Przykryła rąbkiem koszuli
Niewinnej piersi blask
I śmiejąc się do zorzy
I do błękitnych nieb
I do tych śnieżnych szczytów,
Któremi wita nas dal,
Swe ramię do mego przytuli,
Swą wargę do mojej przyłoży
I, jak królowa hal,
Jak można pani gór,
Zawładnie swą mocą nademną.
Miłość, dawczyni łask,
Zrodzona śród błękitów,
A na tej ziemi step,
Na tę powierzchnię ciemną
W słonecznej szacie zesłana,
Z niebiańskich, słodkich cór
Najpowiewniejsza, najsłodsza,
Jak wiew górskiego rana,
Wiewem mnie swoim owiała.
Ach! i, od bluszczów wiotsza
Pnie się ma dusza,
Płonąca cała,

Około pragnień drzewa,
Co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga.
Przejmuje słodki ją dreszcz;
Wszystkie w niej struny porusza
Jakaś ukryta potęga,
Jakaś nieznana dłoń,
I dusza ma,
Jak lutnia, gra,
Radosne hymny śpiewa.

A wieszczów wieszcz
W tej chwili skroń
Rozpromienioną ukaże
I pieśnię blasków zanuci.
Po rosie, po rosie, po rosie
Mkną brylantowe dźwięki,
W fiolet zleją się w jarze,
A opalami na turniach zawisną.
Czarny je bór odrzuci,
One się w perły rozprysną
I na zielonym spadzie,
Klejnotów wielkie pokłosie,
Ogniami błysną...
W tłumnym nieładzie
Iskrzyste pęki,
Światłości smugi,
Złotawe płachty promieni
Łączą się razem z mgłami
I z niemi razem
Pną się do góry,

Gdzie glaz nad głazem
Sterczy ponury,
Lub, jak pas długi,
Hen! ponad nami
Po śliskich ścianach wiją się i w cieni
Giną pomiędzy złomami.

O haj! o haj!...
W porannych blasków kraj,
Ponad grzbietami skał,
Zwartych w zygzaków wał,
W kamiennych zamków bastyjony,
W tumów wspaniałe portale,
Które oblały promieniste fale,
Wystrzelił dziki, szalony,
Namiętny krzyk!
To w błyskawicy mig
Wspiął się w młodzieńczym szale
Na krzesanicy skraj,
Na opaloną grań,
Zwinny juhasik młody
Po siwy kwiat szarotki:
Z przepaści patrzy nań,
W ciemne owita mgły,
Cierpliwa Śmierć...
O haj! o haj!
W zawody
Ze śmiercią pójdzie on —
W to jemu graj!
Niech pod nim ściana drży,

Niech się zawali perć,
Niech granitowy trzon
Wstrząśnie się cały, jak wiotki
Młodego świerku pień,
Gdy dmuchnie śnieżny wiew:
On się przylepi do skały,
Niby ta nikła cień,
Którą kosówki krzew,
Z szczelinki małej
Gdzieś tam u góry
Wysuwający swe pajęcze nóżki,
Rzuca na grani.
On na niej —
Na stromej turni, krzyżami zawiśnie
I z piersi wyrzuci w lazury,
W porannych blasków kraj:
O haj! O haj!
Co jemu śmierć? co lęk?
Co zimne głazów poduszki?
Co jemu chrustu pęk,
Który przechodzień mu ciśnie
Na tę samotną mogiłę?
Zuchwałą żądzy siłę
W stęsknionem czuje łonie,
Krew ogniem gra!
Stanie na szczytu koronie,
Niby królewski ptak,
Swej lubej hasło da,
Ten swój rozgłośny znak
W porannych blasków kraj
Na sto wyrzuci staj:
O haj! O haj!

Kryształowemi dróżki
Mknie, leci krzyk gorący,
Wirchy ma za podnóżki,
Górą płynący.
Od razu gdzieś upadnie,
O ściany się rozbije,
O granitowy złom,
O jakichś zboczów łuk
Z grzmotem, jak grom,
Albo jak działa huk.
To znowu gdzieś na dnie
Czarnego żlebu się skryje,
Zamierający,
Niby myśliwski róg,
W dalekim jarze
Głuchący.
To znów do góry tryśnie,
Jak mężnej surmy głos,
I spłynie znów na szyję
Jakiejś podartej turni
I, ze skałami w rozgwarze,
Skąpawszy się w opalach,
Którymi się iskrzy ściana,
Gdy na nią słońce błyśnie
W swym żarze,
Spłynie na miękki wrzos
I po zielonych halach,
Śród pereł ros,
Jak jaka struga rozlana,
Cicho się wije,
Jak połączone kapele
W szerokiem echu się ściele.

To znowu górniej, górniej
W blasku leżący,
Jak harf tysiącznych brzęk,
Jak dźwięk,
Jak jęk,
W atomy się rozpryśnie
O jakiś szczyt.
Tak na promiennych falach,
Na mżących światłach rana,
Co wnikną w każdą cieśń,
Zmienił się w organ brzmiący
W miłości dźwięczną pieśń
Szalonej żądzy zgrzyt
I swój ostatni ton,
Rozkołysany,
Rozgrany,
Rozwiany,
Jak srebrny dzwon,
Gdzieś tam w oddali słyszany,
Gubi śród naszych łon
I w żyłach gra.
Miłość się w oczach lśni,
Miłość na ustach drga,
Na wargach rozpalonych,
Które się łączą znów:

— „Słoneczny wzniósłbym ci
Ponad skałami tron,
W rozpromienionych
Wiecznego szczęścia dziedzinach!
Życie i skon
Bez skargi słów
Do twoich złożę stóp".

— „Na łez nizinach,
Gdzie dola cięży głazem,
I ciągłych prób,
I na tych górnych wyżynach,
Do których dusza się rwie,
Ze sobą ujrzysz mnie!
Przez piekła grażń, przez raj
Poszłabym z tobą razem!
Czem dla mnie grób,
Jeśli-ć otworzy słońca kraj?“..
O haj! o haj!

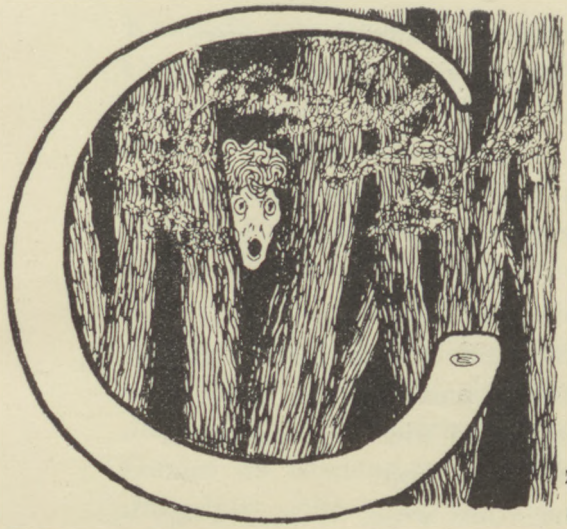

zarny,
odwieczny las
Zakrył nam blasków zdrój
Ach i osłonił nam duszę
Jakąś ponurą, tajemniczą grozą.
Od razu przygniótł nas —
Cały ten ogrom swój
Milczenia i mroczy
Zwalił na pierś nam i oczy.
Przestąpiliśmy jego próg —
Weszliśmy w jego głuszę,
Ja z moją mimozą
I z oną drugą towarzyszką wierną.
Tych naszych dróg,
Z taką pokorą bezmierną,
Z jaką pobożny człek
Wchodzi pomiędzy strzeliste filary
Okrytej mrokami
Świątyni starej,
W której podziemiach, naodzianych pleśnią,
Złożył niejeden wiek

Swoje kapłany i swoich rycerzy.
Wytężaliśmy tylko słuch,
Azaż nad nami
Z tych pospinanych łukami,
Sklepisk gotyckich naraz nie uderzy
Swą przejmującą, niepojętą pieśnią
Zaklęty duch
Zapomnianego czasu —
Azaż na odgłos przedwiecznej trombity,
Rozbrzmiałej naraz wśród lasu,
Jakiś się wielki nie rozewrze grób
I czy na jakieś boje
Nie staną stare woje,
Czy inne widma olbrzymie,
Waligóry, wyrwidęby,
Których orężny chór
Gdzieś tutaj drzymie
Z niepamiętnego stulecia
Nieobliczony czas,
I czy od rąk ich granity,
Otaczające ten straszliwy bór,
Nie ruszą swoimi zręby
I swymi szczyty
I nie przywalą nas
I świata.

Ta trzecia,
To towarzyszka, której okiem ciała
Nie widzieliśmy, lecz którą
Czuliśmy żywo, jak naszymi ślady

Kroczyła wszędzie bez przerwy, purpurą
Ciemną swe kształty odziała,
Chociaż przed chwilą jej szata
Była w promienie bogata,
Choć mirjady
Pereł i jasnych opali
Przed chwilą lśniły się na niej.
Z swej lutni, zmienionej
W złowieszcze jakieś narzędzie,
Jęła dobywać ciężkie, długie tony,
Jak gdyby echa potrzaskanych grani,
Gdzieś do bezdennej lecących otchłani;
Jakgdyby echa walących się kłód,
Które w szalonym pędzie,
Z hukiem jak grom,
Prawicher zmiótł...
I w pieśni swej,
W tem strasznem rozbrzmieniu swych strun,
Których człek słuchać się boji,
A jednak, przerażon, słucha,
To nieodstępna druha
Wciąż nam szeptała do ucha
O jakiejś nocy bez łun,
Bez gwiazd, bez zórz,
O jakimś mroku bez granic,
Który nas dreszczem przejmował,
A który nas i świat — jak złom
Strzaskanych krzesanic
Topi w swych głębiach źleb —
O już, o już
W swej ciężkiej chmurze pochował.
W rozgromie

I w tym zalewie,
Gdzieś na przestrzeni nieb,
Zwieszonych nieruchomie
Nad rozprzężeniem wszystkich świata spójni —
Tak brzmiała nuta w jej śpiewie
Łagodniejącym —
Zabłysnął promień złoty
I coraz bujniej
Zaczął rozkrzewiać blaski.
Ucichły trzaski,
Huki i grzmoty,
Świat się wyłonił z bezdennego cienia
I pełen upojenia,
W zachwycie gorącym,
Ogarnięty ciszą,
Wielbił zbawczynię,
Miłość.

Czarny, ponury las
Zakrył nam blasków zdrój
Posplatanemi koronami drzew.
Wszystko łączyły czas —
Spokój i bój,
To, co wyrasta i to, co ginie —
Snać w nieprzebitą pozbijał zawiłość
Pnie i konary.
Obdarte smereki,
Których przeplonny siew
Przywiał tu wichr przed wieki,
Naokół dyszą

Posępną grozą.
Milczący, wpatrzeni
W ten bór głęboki,
Ja z mą mimozą
I moją pieśnią, duszą mojej duszy,
Mchem stłumionemi kroki
Idziem śród cieni,
Śród dzikiej głuszy,
W jakiś nieznany świat.
Olbrzymie, spróchniałe kłody,
Powywracane wykroty,
Które tu, widać, jakiś demon kładł,
Pełen piekielnej ochoty,
Ażeby zatrzeć wszelkiej drogi ślad
Dla ludzkich stóp,
Leżą dokoła.
Tam — snać przy grobie grób —
Śmierci milczące grody:
Z trawy i zielska wychylają czoła
Zadumane, senne
Płyty kamienne,
Białe i zimne, jak lody,
Albo zczerniałe, podobne do kory,
Odpadającej od tych pniów odwiecznych.
W tym strasznym zmroku sterczą, jak upiory,
Strzegące swego cmentarza,
Umarłe smereki, w mlecznych
Strzępach całunów, co się pozwieszały
Z ich trupich ramion. Wraża
Ogarnia cisza ten cały
Świat tajemniczy.
W tej dziczy

Czasami
Po nad naszemi głowami
Zatrzeszczy jakaś zeschnięta gałązka,
Lub zaszeleści jakiś gad w chościakach —
Mimoza tuli się do mnie milcząca,
Uczuwam dech jej gorąca
I w oczach błyśnie mi, jak smuga lśniąca,
Jak błysk porannych ros,
Jej złoty włos...
Czasem pod stopą zachlupocze grząska
Ziemia, kałużą przesiąkła; od czasu
Do czasu spada po grani zygzakach
Jakiś głaz wielki i w piarg się roztrąca
I tak przerywa oniemienie lasu
I monotonne tak przerywa echa
Tego potoku, co ze szumem spada
Tam! z graźni wirchu jakiegoś..,
Do słońca,
Które się tutaj ku nam nie uśmiecha,
Idziemy naprzód, ja, moja mimoza
I towarzyszka ta druga — bez końca
Idziem ku światłu, a za nami groza
I strach i groza przed nami... Zdrada
Na każdym kroku — ręka gąszcz odpiera,
Chociaż się krwawi; noga grzęźnie w błocie,
A nie jest pewna, czy nie czyha żmija;
Jakieś się zielsko wokół stóp owija,
Grzbiet jakiś konar zwiera,
A z pod spróchniałych, zgniłych pni, paprocie,
Strzelając bujnemi pęki,
Zdają się szydzić z tej męki...
Już... już... przezroczy

Zabłysnął nad nami szmat;
Już... już... przed nami wirch fioletowy,
Olbrzymi skalny wał —
Potok światłości go zlał —
A na nim, nakszałt brunatnych plam,
Mknie kozic kilka stad,
Niby różaniec się snuje.
Ciszę przerywa świst:
Zaklęty w skalne parowy,
W szarawych głazów mur,
Siwarnik poświstuje.
Słychać kozicy gwizd
I jakby łomot orlich piór
Spływa z pod śnieżnych bram,
Z ponad wydętych gór...
Już poza nami las
Zmalał i jakby zbladł,
A tam! a tam!
Poprzez rozdarte kolosy
Snać lecą ku nam niebiosy —
Tam, pełen kras,
Już wita nas
Aksamitnemi wrzosy
Wielki, słoneczny,
Rozzieleniały, wieczny
Wspaniałych cudów świat.

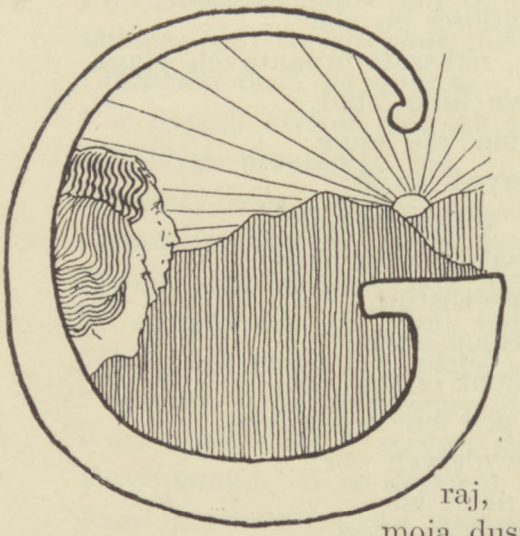

raj,
moja duszo, graj!
Płomienne dźwięki lej,
Aż popękają twe struny!
Z głębiny swej
Ostatni wyrwawszy ton,
Poszarp tę szorstką ciała tkań,
Co cię przygniata ciężarem,
Na poniszczenie ją daj,
Rzuć ją w bezdenną chłań,
Na skon!
O nie! o nie! o nie!
Jakiejś rozkoszy zwiastuny
W tej przędzy drżą,
Przeczuty raj
Swym czarem
Upajającym tchnie.

Łuny
Aż po nad szczyty się pną:
Zapada słońce już
Poprzez szczeliny skał,
Rozdartych ręką burz
Za niepamiętnych dni,
Gdy śród porodu mąk
Jęczał ten świat,
Przez fioletów mglisty wał
Płonie czerwony krąg,
Jak bryła krwi...

Popod krzesanic spad,
Pod ściany stoków,
Poprzerzynanych smugami
Żarzących się plam
I nieprzebytych mroków —
Popod urwiska,
Zwisłe nad nami
Nakształt rozwartych bram
Zamczyska,
Który w przystępie szalonej dumy,
Na przekór Bogu,
Wzniosły szatanów zbuntowanych tłumy
Jednym jedynym tchem —
U progu śmierci, patrzącej k'nam
Wyżartem okiem swem —
Śród rumowiska
Oślizłych głazów białych,
Kroczymy cicho, jak duchy.

Życia tu zginął ślad:
Śród wieczystego snu
Mchów nawet miękkie, aksamitne puchy,
Te podścieliska
Orłów i kozic, nie lśnią się tu,
A tylko w kosmykach małych
Zwieszają się gdzieniegdzie ze złomów zczerniałych.

O patrz! o patrz! śród szpar,
Pomiędzy głazy martwemi,
Pośród granitów zwietrzałych,
Łzy niebieskiemi
Snać rosa lśni
Czy też turkusów ziarna
Na słodki czar rozsiane!
To niezabudki krzew
Rzuca swe gwiazdki na ścianę,
Na której czarna
Zwiesiła rozpacz swą płachtę ponurą
Tu, gdzie od pierwszych dni,
Odzianych tajemnic chmurą,
Gdy przebrzmiał boży zew,
Tworzący światy,
Snać zamieszkały nieme smutki
I nieme jęki
I nieme zapomnienie —
Tutaj roztacza swe wdzięki
Krzew niezabudki!
To pył z niebiańskiej swej szaty,

W barwy bogatej,
Między te cienie,
Gdzie śmierć po głazach pląsa,
Sam Stwórca strząsa,
Aby pokazać, że w swej dziedzinie,
Jasnej, słonecznej,
Pomni i o tej krainie
Wiecznej,
Lodowatej
Grozy.

O weź te kwiaty
I nie zapomnij mnie!
Przytul do piersi je białej,
Do ust przyciśnij je
I nie zapomnij mnie!
Choćby na całej
Drodze żywota
Śniegi i mrozy,
Przepaście i złomy
I bezsłoneczne dnie
Mrących wędrowców witały,
O ma jedyna, o złota,
Ty nie zapomnij mnie!
Choćbym, bezdomny,
Z odkrytą głową,
Z obnażonemi ramiony,
Jak pień, zwalony
Burzą gromową,
Na wichrach stał;

Chociażby ze mnie
Szydziły ciemnie;
Chociażbym miał
U hańby stóp
W wzgardzony upaść grób,
Ty nie zapomnij mnie!...
O nie! o nie!
Nie chcę, by żywot twój
Był jako ciągły bój,
W którym zwycięstwo swej pieśni nie śpiewa!
Nie chcę, by znój
Z lic ci tę świeżość starł,
By blask twych oczu zmarł,
Byś padła nakształt drzewa,
Które przedwcześnie schnie!
Zapomnij mnie,
A tylko jedną chwilę
Daj użyć wielkiej rozkoszy!
Widzisz, zapadła noc
Cicho, jak w wielkiej mogile.
Świat nam spoczynku nie spłoszy —
Cóż nas obchodzi świat,
I jego wszystka moc
Cóż nas obchodzić może?
Tu, gdzie tych głazów spad,
Miękkie zgotuję ci łoże
I od mroźnego tchu
Ciałem cię własnem zakryję!
Do snu
Tulić cię będą gorące
Całunki me!
Wypiję

Krew z twoich żył
I swe oddechy wrzące
W twe żyły tchnę,
A świat roztrącę
W pył!...

Nad nami,
Na czarnem firmamentu tle,
Gwiazd niezliczone tysiące
Świeciły
Roziskrzonemi i pełnemi oczy.
Turnie, szczytami
Nieb sięgające,
Jak straszliwe siły,
Zwarte w szeregu
Na świata straży,
Tonęły w mroczy...
Białego śniegu
Tu owdzie skrajane pasmami,
Które się w gwiazdach tajemniczo lśniły,
Turnie te były
Jak hufce sennych olbrzymów, resztkami
Zdartych sztandarów swych potrząsające
Po nad łanami
Czy pobojowisk czy wielkich cmentarzy...
W pobliżu watra się pali —
Cicho się jarzy
I rzuca na głazy drzemiące
Dym i czerwone płomienie.
Wskróś przejmujące

Wokół milczenie:
Słychać w kosówce uśpionych górali
Tchnienie.
A tylko w dali
Jak gdyby stada dzwoniące
Na hali!...
A tam! na strasznych pomroków fali
Jakiś szept cichy ku nam się podawa,
Jak głaz się czołga zwolna w naszą stronę:
To jakieś echa mruczą przytłumione,
Że świata depcemy prawa...

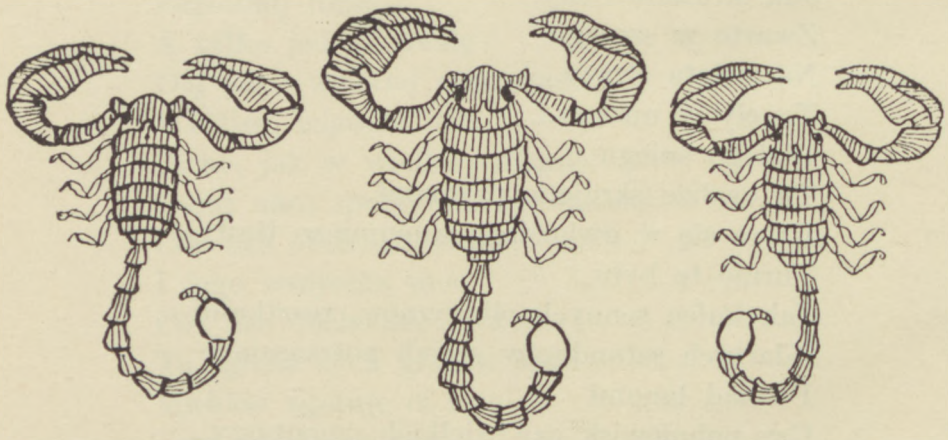

a szczyt!
na szczyt! na szczyt
Nad tych złotawych obłoków brzeg,
W żywy, słoneczny żar!
Tam się o chmury wsparł
Godny miłości tron,
U jego stopni tam legł
Cały, bezmierny świat!
Tam nie dosięgnie zgrzyt,
Zrodzon śród marnych łon
Płazów, toczących po ziemi
Swoje oślizłe kręgi!
Tam zginął wzgląd i wstyd —
Obłudne ludzkie prawidła,
Pomiędzy ściany wąskiemi
Nakreślające ślad,
Którym ma kroczyć człek,
Oplątan w sidła,
Tam swój znalazły skon!

Tam, gdzie tych głazów stek
W fioletowy gród
Tajemne siły
Ongi spoiły,
Swoboda swoje ma lęgi;
Tam nie ma rdzawych krat,
Po za któremi duch,
Niby zamknięty ptak,
Trzepoce skrzydły ściętemi.
Tam on w ekstazy szlak,
Zapatrzon w jeden znak,
W błękitu promienne potęgi,
W morze szafirów, w złota rzeki,
Popłynie, jak srebrny puch,
Powiewny, lekki,
Wyrwan z Wieczności skrzydła,
Puszczony w twórczy ruch
Wiewem bożego tchnienia.

Pomnisz te wrzące skry,
Jakby przedwieczna dłoń
Korcami siała rubiny
Na mchem porosłe głazy?
Lazurów jasna toń
Śród falistego drżenia
Światłością mży:
Kąpią się w niej upłazy
I grzbiet przełęczy siny,
Za granią kąpie się grań..
Te aksamitne odzienia,

W które krzesanic stoki
Okryła ciemna tkań
Kosodrzewiny,
Na niej smaragdów łzy
Pamiętasz ty?
Te wirchu bladą skroń,
Te nagie, zimne jej boki,
Siwizny okryte puklami —
Śniegiem, co przyległ doń,
Do tego głazów olbrzyma,
Gdzieś przed wiekami,
I dotąd w uściskach go trzyma?
Jak gdyby tutaj miała swe dziedziny,
Skryta gdzieś na dnie bezdennej kotliny,
Wieczysta zima!
A przecież kwietna błoń
O kilkanaście staj
Kolorów snuje raj,
Zapachów leje czar.
Snać stamtąd płynie ta woń
Aż dotąd w głąb tego cienia,
W turni spadziste załomy,
W one kominy,
Wiodące w piekieł kuźnice,
W głębiny,
Których źrenice
Nie przetną swemi pociski...

Ten stromy,
Ten ślizki

Pamiętasz żleb?
Boże nas chroń!
Jeden fałszywy krok,
A wszystkie nasze pragnienia,
Wszystkie tęsknoty,
Wszystkie zachwyty
I upojenia
I loty
Do słońc, do nieb —
Wszystką tę miłość, wyższą nad te szczyty,
Głębszą nad onej przepaści stok,
Jaśniejszą ponad błękity,
Nad ogień słońca gorętszą,
Pokryje wieczny, lodowaty mrok,
Marnych kamyków zapomniany grób...

Tam, gdzie te ściany się piętrzą
Nakształt strasznego potwora,
U naszych stóp,
Z pod granitowych zboczy
Szklanemi oczy
Z zczerwienionemi obwódki,
Jak gdyby łzy je spaliły i smutki,
Patrzały na nas jeziora,
Głuche i nieme, martwe z osłupienia,
Że nikłe dwa ludzkie atomy,
A tylko wielkie miłością,
Idą pomiędzy ogromy
Stworzenia.
Czy pomnisz granat tych gładkich przezroczy?

Tafle, ponurą wabiące jasnością?
Nic ich nie zmarszczy, chyba wicher halny
W czarnych kryształów słupy je przemienia,
O trzon rozbija skalny
I znów je skupia i skręca i tłoczy
Między rozwarte szczeliny
Zimnej powieki kamiennej.
Owej godziny
Nie senny,
Lecz trupi spokój wyzierał z głębiny.
Patrząc w tę szklaną, nieruchomą krucz,
W te nieprześnione śnicia,
Człek-by na wieki mógł usnąć.
Ptak jakiś biały, zatoczywszy kołem
Lot swój nad głębią, chciał ją skrzydłem musnąć,
Ale, przerażon, uleciał w krainy
Światła i życia.
A — pomnisz — jedno z tych ócz,
Za dawnych, widać, dni
Straciwszy źreniczny kir,
Patrzało
Z popod kosówek brwi
Pustym, jak ślepiec, oczodołem.
Do wtóru wichru halnego, co w mir
Tej puszczy wpada z huczącemi tchy,
Do wtóru słońca rozdźwięczonych lir,
Co wciąż tu rzuca swojej pieśni skry,
Snać się to oko z dziwu wypłakało
Nad tą straszliwą, a wspaniałą
Pustynią całą,
Snać, że spłynęło razem z swemi łzy,
A te zmieniły się w żwir.

Na szczyt! na szczyt! na szczyt,
Podparty niebios powałą,
Granatu falą zlan,
Pobłyskujący wrzącym milionem
Czerwonych skier!
Jakgdyby na nim kwitł
Mikroskopowych
Kąkolów łan,
Jakby kobierzec miał,
Subtelnie tkan
Z pereł różowych,
Z miłości naszej korali.
O lazurowych sfer
Błękitny wał,
Rozciągający się w dali,
Oparł się łonem,
A lśniącą skroń
Utopił w płynie słońca.
Wyciągnij dłoń —
Snać go dosięgniesz palcami!
Gdzież on? Przed nami
Znikł, jak to widmo, co mami
Promieni grą!
Śniegu olbrzymi płat,
Między dwie ściany skał
Zawieszon, błyszczy bez końca
Białością swą,
Jak płótna wielki, szeroki szmat,
Rękami Stwórcy rozpięty
Nad przepaściami...
Mroźny podmuchnął wiew,
Znim jakiś motyl spadł

Zziębnięty,
Nawpół umarły, z skrzydły stulonemi,
Do naszych nóg.
Dziwne zjawisko śród tych śnieżnych stref,
Między śnieżnemi ławy,
Śród tej bezmiernej głuszy,
Pośród lodowych dróg,
Ten lotny owad złotawy!
Tyś go podniosła i oddechy swemi,
Ciepłem swej duszy
Na nowo wlałaś weń życie!
Błogosławiona ta chwila,
Kiedy w mrącego motyla,
Nim wicher docna skrzydła mu ściął,
Siłę twój oddech tchnął,
Że oto, znowu żyw,
Pośród rozkwitłych niw
Słodycze będzie pił
I lot swój topił w błękicie!
Błogosławiona tych ożywczych sił
Ciepła krynica śród twojego łona —
Błogosławiona!...

Aaa!
Korona,
Rękami Stwórcy spojona
Z potężnych grani,
Koronująca jego myśl przedwieczną!
A my śmiertelni na niej...
O, droga ma.

Chodź! chodź! swe oczy,
Do tej niebieskiej podobne przezroczy,
Odbijające cały świat błękitów,
Łunę słoneczną
I tę dal bezmierną
Fioletowej otchłani,
Z której duch wielki do niebieskich szczytów,
Tych niezmierzonych
I niezgłębionych,
Zda się ulatać na skrzydłach śrebrzonych,
Złącz z mą źrenicą wierną!
Serca twojego rozegrane tętna
Niechaj się źdźwięczą z mojemi!
Bo tylko w jedną istotę zlani,
Bez piętna
Dwóch obok siebie kroczących atomów
Po biednej ziemi,
Lecz przemienieni
Drzemiącą wokół niezbadaną mocą
W jeden nieziemski byt —
Ogarniem czar tych ogromów
I przenikniemy ich treść.
W tej bezgranicznej przestrzeni
To nie przy szczycie szczyt,
To nie ramiona złomów
Białe migocą —
To jakieś wielkie morze się bałwani!
O! tam się duchem nieść!...
Patrz! jak się pieni,
Jak mgłą do góry się miecie!
Jak jego fale się złocą
Od tych promieni,

Co się ślizgają po tych wałów grzbiecie!...
Z tej falującej otchłani,
Co się w tysiączne barwy rozpieniła,
Jakaś tajemna przyzywa nas siła:
W jednego ducha zlani,
Płyńmy już, płyńmy falami!
Ale nie sami! nie sami!
Niech świat popłynie z nami
Z wszystkiem, co żyje, związani,
Zbratani,
Popłyńmy, popłyńmy ninie
Po tej rozkoszy głębinie,
Po fioletów przestrzeni,
Co skrami złota się mieni.
Potem, raz jeszcze wpatrzeni
W ten żywy smaragd na fali,
Który tam w słońcu się pali,
W kryształ podziwu skropleni,
Rozpłyńmy się, jak krople, w tej płynącej dali.

SPIS RZECZY.

STR.

L'AMORE DESPERATO 5

MIŁOŚĆ-GRZECH 49

AMOR VINCENS 83

Z GÓR 109

I. O PORANKU 113

II. PRZY SZUMIE DRZEW 121

III. W TURNIACH 141

UWAGA.

Pisząc rzecz „W turniach“, nie mogłem nie posługiwać się charakterystycznymi wyrazami miejscowymi, służącymi góralom zakopańskim do określenia składników wspaniałego świata tatrzańskiego. Znaczenie tych wyrazów nie wszystkim jest dostępne — rozumieją je dobrze głównie ci tylko, którzy jakiś czas spędzili w turniach — dlatego też nie od rzeczy będzie następujący załączyć słowniczek.

I tak:	Znaczy:
grań	cypl skały,
żleb	rozpadlina pomiędzy skałami,
siklawy	wodospady,
krzesanica	stroma skała,
zbocze	spad skalny,
wirch	szczyt,
grażń	pieczara w skałach,
chościaki	zarośla,
upłaz	zbocza gór, porosłe trawą,
przełęcz	siodło pomiędzy dwoma szczytami,
watra	ognisko.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Biblioteka Główna UMK
300020445600

308582

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
C 435689

50,-

x-rite
colorchecker CLASSIC
mm